

W stronę Czternastki

Wspomnienia pracowników i absolwentów
Szkoły Podstawowej nr 14
i Gimnazjum nr 5



W stronę Czternastki

**Wspomnienia pracowników i absolwentów
Szkoły Podstawowej nr 14
i Gimnazjum nr 5**

Marek Melnyk
Iwona Krasowska
Izabela Mikulak
Mieszko Podolak

W stronę Czternastki

**Wspomnienia pracowników i absolwentów
Szkoły Podstawowej nr 14
i Gimnazjum nr 5**

Warszawa 2025

Recenzent
Ks. prof. dr hab. Henryk Skorowski

Projekt okładki
Adam Głowacki

ISBN 978-83-67398-88-6

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42-700)
al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa
wydawnictwo@muzn.pl
tel. 826 90 91 w. 41

Spis treści

Wstęp	7
Historia Szkoły	8
Po co powstają wspomnienia szkolne?	11
Jak powstają wspomnienia?	14
Przemiany	14
Z perspektywy nauczycieli	19
<i>Najważniejsi są uczniowie</i>	19
Od projektora do monitora – kilka słów o pomocach dydaktycznych	23
<i>Praca, ale przede wszystkim przyjaźń</i> – rozmowa z Małgorzatą Sochą i Katarzyną Potrapeluk	25
Wolontariat w Czternastce	39
<i>Twarda dyrektor na ciężkie czasy</i> – rozmowa z panią Elżbietą Żukowską	41
<i>Wszyscy w Czternastce byli równie ważni</i> – wspomina Danuta Trawczyńska, wieloletnia kierownik administracji	46
<i>Dzieci nadal lubią sport</i> – o swojej pracy w Czternastce opowiada Irena Podolak	49
<i>Sentymentalna podróż w przeszłość</i> – wspomnienia pani dyrektor Jarosławy Kozak	57
O początkach Przeglądu Małych Form Teatralnych	60
Z perspektywy uczniów	65
<i>Warto dzielić się pasją</i> – rozmowa z dr. Piotrem Siwikiem	65
<i>Połączyły nas sport i taniec</i> – wspomina Iwona Pavlović	79
<i>Szczepionka na życie</i> – Czternastkę wspomina Wojciech Żołdkowicz	85
<i>Sport i przyjaźń – to zawdzięczam Czternastce. Wspomnienia Pawła Głowackiego</i>	98
<i>Życie szkolne to coś więcej niż nauka</i> – wspomina Iga Sztąberska-Molga	107
Zestawienia	111
Kadra Pedagogiczna Szkoły Podstawowej nr 14 i Gimnazjum nr 5	111
Sukcesy sportowe uczniów Szkoły Podstawowej nr 14 i Gimnazjum nr 5 – najważniejsze wydarzenia	117
Zdjęcia	123
Źródła	133
Indeks nazwisk	135

WSTĘP

Książka, którą oddajemy w ręce czytelników, to zbiór wspomnień związanych z jednym konkretnym miejscem – Szkołą Podstawową nr 14 w Olsztynie. Wspomnienia powstały w związku ze świętem 65-lecia istnienia szkoły. Były zatem u swego zarania częścią tej celebracji. Wymagała ona spojrzenia wstecz, podsumowania minionych lat, przypominania ludzi z przeszłości szkoły. Bez tego uroczystości nie mogłyby się odbyć należycie. Takie święto domaga się przywołania pamięci ludzi, którzy tworzyli szkołę.

Aby pomóc w lekturze, sporządzono poniższy „Wstęp”. Jak zwykle w takich przypadkach „Wstęp” pełni kilka istotnych funkcji, które wprowadzają czytelnika w treść i kontekst książki. „Wstęp” zazwyczaj wyjaśnia, o czym jest książka, przedstawia jej główny temat, problematykę oraz cel. Autor może przedstawić tło historyczne, kulturowe, naukowe lub osobiste, które wyjaśnia, dlaczego książka została napisana i dlaczego dany temat jest istotny. „Wstęp” pozwala powiedzieć, co zamierza się osiągnąć dzięki książce. Są to cele i korzyści, które może przynieść czytelnikowi jej przeczytanie. „Wstęp” często zawiera zapowiedź, jak książka jest zorganizowana – na przykład opis podziału na rozdziały i ich tematykę. Jeśli książka dotyczy trudnych zagadnień, można wyjaśniać podstawowe pojęcia, które będą kluczowe dla dalszej treści. Autor może wykorzystać „Wstęp”, by zaintrygować czytelnika i zachęcić go do dalszego czytania, np. poprzez pytania retoryczne, odniesienia do ciekawych przykładów czy osobiste refleksje. „Wstęp” ma zatem przygotować czytelnika do lektury, ułatwić zrozumienie głównych treści i stworzyć pomost między autorem a odbiorcą. My – spośród wymienionych elementów „Wstępu” zdecydowaliśmy się na ukazanie jedynie trzech zagadnień. Zarysowaliśmy historię szkoły, którą uczniowie wspominają. Wyjaśniliśmy, czym są wspomnienia uczniów. Uznaliśmy za potrzebne też wskazanie do czego mogą się przydać zgromadzone materiały źródłowe. Sądzimy, że mogą one posłużyć jako materiał źródłowy do tego, co nazywamy „studium

przypadku”. Studium przypadku (ang. *case study*) to metoda badawcza lub analityczna, która polega na szczegółowym, pogłębionym zbadaniu i opisanu konkretnego przypadku, zjawiska, osoby, organizacji, wydarzenia lub procesu. Jest to narzędzie szeroko stosowane w naukach społecznych, zarządzaniu, edukacji, psychologii, medycynie i innych dziedzinach, gdzie istotne jest zrozumienie złożoności rzeczywistych sytuacji. Sądzimy, że zgromadzone wspomnienia mogą pomóc komuś, kto chciałby skoncentrować się na jednostkowym przypadku kogoś, kto był związany z „czternastką” (uczeń, nauczyciel). Dzięki temu może powstać portret jednej konkretnej osoby, która może zobaczyć siebie w procesie przemian.

Historia Szkoły

Szkoła Podstawowa nr 14 w Olsztynie rozpoczyna swą działalność 1 września 1959 roku. Pierwszy rok szkolny w nowo oddanym budynku inauguruje kierownik Andrzej Gerszberg. Uroczystość ma imponującą oprawę, przybywają na nią liczni oficjele partyjni, przedstawiciele władz miejskich i wojewódzkich. Edukację rozpoczyna tutaj aż 934 uczniów. Klasy są, jak na dzisiejsze standardy, bardzo liczne – najmniejsza liczy 34 uczniów, największa zaś aż 48, a poziom uczniów mocno zróżnicowany. Nauka w takim gronie to spore wyzwanie – 132 uczniów pod koniec roku nie uzyskuje promocji do klasy programowo wyższej. W kolejnym roku szkolnym wzrasta liczba dzieci i młodzieży – w 23 oddziałach uczy się ich już 1039. Zmniejsza się za to ilość niepromowanych, co z pewnością stanowi dowód pracowitości dzieci i młodzieży, ale również wysokich kompetencji wykładających tutaj nauczycieli. Za kilkanaście lat zostaną oni docenieni jeszcze w inny sposób – Szkoła Podstawowa nr 14 stanie się Szkołą Ćwiczeń dla WSP. Czternastka to placówka, która słynie z dobrych praktyk, awangardowych metod nauczania – idealne miejsce do poznawania tajników nauczycielskiej profesji. 31 maja 1964 r. patronem Czternastki zostaje Karol Świerczewski. Wizerunek patrona pojawi się na przekazanym

tego dnia sztandarze szkoły, przed budynkiem stanie zaś kamienne popiersie generała. Świerczewski będzie witał kolejne pokolenia uczniów, nauczycieli oraz wszystkich przechodzących w pobliżu Czternastki do roku 1990. Wtedy to szkoła oficjalnie, decyzją rady pedagogicznej, zrezygnuje z tego patronatu. Pomnik generała, „który się kulom nie kłaniał”, jak go w swej hagiograficznej opowieści nazwała Janina Broniewska i wszystkie inne emblematy z nim związane znikną dosłownie z dnia na dzień.

Od pierwszych dni szkoła rozwija się niezwykle prężnie. Placówka ma szczęście do dyrektorów. Dobrym gospodarzem okazuje się kierownik Gersberg, a także kolejni dyrektorzy: Lesław Kleszczyński, Zygmunt Turejko, Jan Jabłoński i Danuta Ciborowska. Spod skrzydeł dykcji, nauczycieli i pracowników wyfrunie w świat pokaźne grono uzdolnionych i utalentowanych ludzi. Uczniami Czternastki byli między innymi:

- Izydor Borys: wybitny i doceniany na całym świecie artysta-rzeźbiarz, wykładowca w Pracowni Rzeźby UWM, autor wielu znakomitych dzieł, m.in. „Żurawie” w Parku Centralnym
- Iwona Pavlović: znana tancerka, jurorka w programie „Taniec z gwiazdami”,
- Wojciech Żołądkowicz: szkolny mistrz recytacji, aktor filmowy i teatralny, znany m.in. z „Listów do M.”, „Układu zamkniętego”,
- Andrzej i Paweł Matraccy – mistrzowie świata w fryzjerstwie,
- Jarosław Kordaczuk: muzyk, kompozytor, twórca muzyki alternatywnej,
- Anna Żarczyńska (dawniej Koziorowska), obecna dyrektorka SP10,
- Mieszko Podolak: w czasach szkolnych przede wszystkim świetny lekkoatleta, obecnie zastępca redaktora naczelnego „Gazety Olsztyńskiej” oraz trener i działacz sportowy.

W wyniku reformy Szkoła Podstawowa nr 14 na pewien czas znika z edukacyjnej mapy Olsztyna. Uchwałą Rady Miejskiej z dnia 12 III 1999 r. przemianowana zostaje na Gimnazjum nr 5. Pierwszą dyrektorką gimnazjum zostaje pani Elżbieta Żukowska, kolejną – i jak się

okaże, ostatnią – pani Jarosława Kozak. Zmienia się wówczas struktura i nazwa placówki przy ul. Konopnickiej. Część kadry związanej ze szkołą podstawową przechodzi do innych placówek.

Organizacyjnie zmienia się wiele. Jedno pozostaje wciąż takie samo – wysoka jakość edukacji i wychowania młodzieży. Świadczy o tym długa lista gimnazjalnych sukcesów, a wśród nich m.in.:

- I miejsce Dariusza Ręćkowskiego i Tomasza Mackiewicza w województwie w konkursie „Alfik matematyczny”,
- wybitne osiągnięcia sportowe, m.in. Mieszka i Piotra Podolaków, Magdaleny Trzeciak, Ady Pacholczyk – znakomitych lekkoatletów, Aleksandra Krocza – zapaśnika,
- liczni stypendyści Prezydenta Miasta Olsztyna, wśród nich: Kamil Bystrzycki (światny tancerz), Daniel Buzderewicz, Cezary Pietruszko – obaj wybitnie uzdolnieni matematycznie,
- mistrzostwo województwa warmińsko-mazurskiego w szachach z 2014, zdobyte przez drużynę w składzie: Grzegorz Hennig, Grzegorz Cybulski, Dawid Szafirsztajn i Karolina Pogorzelska,
- laureaci i finaliści konkursów przedmiotowych: Paweł Grudzień (2007 – finalista wojewódzkiego Konkursu Biologicznego), Cezary Pietruszko (laureat Wojewódzkiego Konkursu Fizycznego), Daniel Buzderewicz (laureat Wojewódzkiego Konkursu Języka Angielskiego), Aleksandra Głąb (laureatka Wojewódzkiego Konkursu Biologicznego).

Osiągnięcia sportowe i naukowe to jednak nie wszystko. To właśnie w czasach gimnazjalnych rozpoczyna się piękna i kontynuowana po dziś dzień, choć już pod innym szyldem, działalność szkolnego wolontariatu. Nie sposób nie wspomnieć również o innej ważnej imprezie, która na dobre wpisała się w kalendarz konkursów szkolnych w Olsztynie, a swym początkiem sięga czasów gimnazjum. W roku 2011 z inicjatywy pani Aliny Bogdańskiej w murach szkoły odbył się pierwszy Przegląd Małych Form Scenicznych Miasta Olsztyn – niezwykle spotkanie zespołów teatralnych reprezentujących wszystkie poziomy nauczania.

Rok 2017 przynosi kolejną zmianę. W wyniku reformy oświaty znika gimnazjalna „Piątka”, powraca zaś Szkoła Podstawowa nr 14. Do opuszczenia murów szkoły szykują się ostatni piętnastolatkwie. Pojawia się za to pierwsza, z początku zalękniona, z każdym dniem coraz bardziej „u siebie” dziewiętnastoosobowa gromadka siedmiolatków. Troskliwą opieką otacza ich nie tylko wychowawczyni, pani Renata Kwiatkowska, ale również starsi uczniowie. Dziś ówcześni podopieczni pani Kwiatkowskiej uczęszczają już do ósmej klasy i są najstarszymi uczniami tej szkoły. Od 2020 r. dyrektorką Czternastką jest pani Ewa Romanowska. Obecnie w szkole uczy się 384 uczniów, pracuje 49 nauczycieli i 11 pracowników administracji i obsługi.

W październiku 2023 roku szkoła przyjęła imię Marii Konopnickiej. O wyborze takiej patronki zdecydowała cała szkolna społeczność. Długoletni pracownicy placówki wspominają często o tym, że na korytarzach szkolnych spotykają dawnych uczniów, którzy teraz przyprowadzają tu własne dzieci. Zmieniają się nazwy, typy szkół, ale niezmienna pozostaje wyjątkowa, kameralna i przyjazna atmosfera tego miejsca, a także troska wszystkich pracowników o wszechstronny rozwój uczniów i ich bezpieczeństwo.

Po co powstają wspomnienia szkolne?

Zacznijmy od stwierdzenia banalnego. Wspomnienia szkolne mają zarówno znaczenie emocjonalne, społeczne, jak i dokumentacyjne. Oto kilka głównych powodów ich tworzenia. Szkolne lata są często okresem intensywnych doświadczeń, które kształtują tożsamość. Wspomnienia szkolne pozwalają utrwalić te chwile, by można było do nich wrócić po latach. Takie wspomnienia to połączenie z przeszłością. Jest to spojrzenie na swą przeszłość. W takim momencie wiemy lepiej, kim jesteśmy. Przypominamy sobie samego siebie z przeszłości. Wspomnienia uczniów z przeszłości jakiejś szkoły są ważne dla uczniów z teraźniejszości. Albumy, kroniki czy inne formy wspomnień szkolnych

integrują społeczność uczniów i nauczycieli, przypominając o wspólnych przeżyciach, sukcesach i wyzwaniach. Uświadomią one im, że za kilkadziesiąt lat też będą ludźmi z przeszłości. W ten sposób buduje się więź społeczna między pokoleniami. Kroniki szkolne, zdjęcia klasowe czy wspomnienia absolwentów mogą przypominać młodszym pokoleniom o wartościach, tradycjach i kulturze szkoły. To pomaga budować ciągłość międzypokoleniową. Chociaż różne pokolenia mogą przeżywać szkołę w innych czasach, wiele doświadczeń, takich jak egzaminy, relacje z nauczycielami czy wspólne wydarzenia, jest uniwersalnych. To tworzy wspólny język porozumienia między starszymi i młodszymi. Wspomnienia szkolne dokumentują historie, które mogą być istotne dla społeczności lokalnej. Starsze pokolenia dzielą się opowieściami o wydarzeniach z przeszłości, co pozwala młodszym lepiej zrozumieć korzenie swojej społeczności. Przykłady sukcesów i trudności starszych pokoleń mogą inspirować młodsze do podejmowania wyzwań i rozwijania swoich talentów. Wspomnienia o nauczycielach, mentorach i rówieśnikach pokazują, jak różnorodne ścieżki życiowe można obrać. Dzieląc się swoimi przeżyciami, starsze pokolenia pomagają młodszym zrozumieć realia swoich czasów, a młodsze uczą się doceniać perspektywę tych, którzy żyli w innych warunkach historycznych, kulturowych czy technologicznych. Spotkania absolwentów, festyny szkolne czy publikacje o historii szkoły tworzą przestrzeń, gdzie różne generacje mogą się spotkać, dzielić wspomnieniami i budować więź mimo różnic wieku. Wspomnienia szkolne pełnią więc rolę nie tylko sentymentalnej pamiątki, ale także mostu łączącego pokolenia, pomagając w budowaniu społeczności opartej na wzajemnym zrozumieniu, ciągłości i wspólnych wartościach.

Wspomnienia szkolne są często przygotowywane przy zakończeniu szkoły jako forma podsumowania pewnego etapu życia i celebracji tego, co zostało osiągnięte. Pełnią wówczas rolę podsumowania ważnego etapu w życiu. Są one symbolicznym zakończeniem okresu nauki, dorastania i budowania pierwszych znaczących relacji. Oto, dlaczego wspomnienia szkolne mają tak dużą wagę w kontekście zamykania i podsumowywania

życia. Szkolne lata to czas zdobywania wiedzy, rozwijania talentów i pokonywania trudności. Wspomnienia uwieczniają te chwile, przypominając o sukcesach i trudach, które prowadziły do rozwoju osobistego. Pozwalają zachować w pamięci ludzi, z którymi dzieliliśmy szkolne dni. To pamiętka przyjaźni, które mogły odegrać kluczową rolę w naszym życiu. Szkolne wspomnienia dokumentują przemianę od dzieciństwa do dorosłości. Przeglądanie dawnych zdjęć czy opisów wydarzeń pomaga dostrzec, jak bardzo człowiek zmienił się na przestrzeni lat. Szkoła to miejsce, w którym kształtują się wartości, postawy i zainteresowania. Wspomnienia przypominają o doświadczeniach, które wpłynęły na naszą tożsamość i wybory życiowe. Tworzenie wspomnień szkolnych, np. w formie albumów, kronik czy pożegnalnych piosenek, jest często symbolicznym rytuałem zamykającym pewien etap życia i przygotowującym na kolejny – np. edukację wyższą, pracę czy dorosłość. Wspomnienia szkolne są czymś więcej niż tylko dokumentacją przeszłości – pomagają spojrzeć wstecz, docenić przeżyte chwile i z większą świadomością wkroczyć w nowe etapy życia.

Ale popatrzmy bardziej prozaicznie. Dzięki wspomnieniom szkolnym można po latach wrócić do tego, jak wyglądały relacje, wydarzenia, a nawet codzienność w szkole. Po latach wspomnienia szkolne stają się sentymentalnym powrotem do czasów beztroski, młodości i pierwszych ważnych doświadczeń, przypominając, jak wiele się zmieniło i co pozostało niezmiennie. Dzięki temu pamiętamy o przeszłości. Wspomnienia ją materializują. Z głębi pamięci powracają zdarzenia zdawałoby się już bezpowrotnie utracone. A czasem powracają też wspomnienia bolesne. Warto zatem powrócić do samego siebie. Te wspomnienia przydają się na przyszłość. Są formą własnej psychoterapii.

Wspomnienia mogą dokumentować tradycje, zmiany i rozwój szkoły, tworząc zapis dla przyszłych pokoleń uczniów i nauczycieli. Stanowią one ważny element dziedzictwa kulturowego szkoły. Wspomnienia szkolne mogą pokazać, jak różnorodne są drogi życiowe absolwentów, inspirując kolejne pokolenia do działania i rozwijania swoich pasji. Dzięki

temu wspomnienia szkolne są czymś więcej niż tylko nostalgicznym zapisem – pełnią ważną funkcję w zachowywaniu tożsamości indywidualnej i społecznej. Tyle mówi nam teoria.

Jak powstają wspomnienia?

A jak to się stało, że światło dzienne ujrzały wspomnienia uczniów Szkoły Podstawowej nr 14 w Olsztynie? Publikacja ta nie powstałaby, gdyby nie pewne zadanie zlecone przez dyrektora Ewę Romanowską. W październiku 2023 r., tuż przed uroczystością nadania szkole imienia Marii Konopnickiej, poprosiła o napisanie krótkiego tekstu na temat historii Czternastki. Zaczęły się zatem prace archiwalne: przeglądanie szkolnego archiwum, gromadzenie dostępnych dokumentów, przeglądanie starych kronik szkolnych. Na tej bazie zaczęto rekonstruować szkolną przeszłość. Pomagały w tym zadaniu Irena Podolak i Elżbieta Skibicka – nauczycielki związane z Czternastką niemal od początku kariery zawodowej, znające to miejsce i jego historię najlepiej, a przede wszystkim najdłużej. Stały się przewodniczkami po szkolnej przeszłości. Z rozlicznych rozmów, ze wspólnego przeglądania archiwaliów stopniowo zaczął wyłaniać się zadziwiająco barwny obraz Czternastki – szkoły dziś, zdawałoby się, dość niepozornej i jakby nawet trochę zapomnianej przez władze (o czym świadczy chociażby stan boiska), a w przeszłości tętniącej życiem, pomysłami, inicjatywami. Czternastka ukazała się też jako miejsce wyjątkowo doświadczone przez wszelkie reformy edukacyjne, z których zawsze wychodziła obronną ręką dzięki świetnym dyrektorom oraz zaangażowanym, a przede wszystkim zaprzyjaźnionym ze sobą nauczycielom i pracownikom.

Przemiany

Słowo „Przemiany” jest określeniem najprostszym i dlatego najbardziej funkcjonalnym w nazwaniu dla tego wszystkiego, co jest treścią tej książki. Ma ono zwrócić uwagę na to, co spaja opowieści zawarte

w tej książce. Tym spoiwem jest ukazanie szkoły jako miejsca intensywnych i ustawicznych zmian. Są to opowieści o tym, jak w ciągu życia poszczególnych osób wspominających swoją szkołę zmienił się ich najbliższy świat. Jest to próba opowiedzenia o zmianach wokół nich. Koncentrują się na osobistych przeżyciach, doznaniach. Ale są one częścią historii wyjątkowej części świata – Warmii i Mazur. Ich wspomnienia to swoisty, zaszyfrowany system wartości, który wciąż przemawia do każdego, kto potrafi wsłuchać się w dziedzictwo pozostawione nam przez dawnych mieszkańców tej krainy. Wyłania się z nich inny jakościowo obraz Warmii i Mazur, na który patrzymy nie przez pryzmat entropii świata, ale ciągłej kreacji. Nasz region jest obszarem, na którym doszło do szczególnego nie tyle co nasilenia się, ale ujawnienia się tych dwóch zasadniczych procesów wyznaczających nasz ludzki sposób postrzegania świata rozpadającego się na antynomiczne i przeciwstawne procesy. Interesuje mnie różnorodna antynomiczna materializacja w naszym krajobrazie rozkładu i kreacji. Akcent jest kładziony na akt kreacji dobra, konsekwencje/skutki wyboru tego, co uznaje się za wartościowe, a co jest zawarte w każdej próbie przeciwstawienia się rozpadowi tego wszystkiego, co zostało dane w 1945 roku na rozszarpanie, zapomnienie, degenerację, zakłamanie. Tym dobrem jest wiedza przekazywana w szkole.

W procesie tych przemian istnieje coś, co jest stałe, wciąż obecne. To więź ze Szkołą jako miejscem pracy i miejscem zdobywania wiedzy. Pierwsza z więzi, przenosząca się w dodatku na życie prywatne i trwająca pomimo emerytury czy innych życiowych okoliczności, to w dzisiejszych czasach rzadkość. Tęsknimy za jakąś identyfikacją, byciem częścią wspólnoty, ale nie zawsze znajdujemy sposób, by ją zbudować. W Czternastce, pomimo niełatwych warunków, to się udało.

Być może dzięki temu powstała ta książka? Zapragnęliśmy stać się częścią pamięci o ludziach związanych z tym konkretnym miejscem poprzez udokumentowanie go? Albo uwiódł nas urok szkolnej przeszłości, w której granice między nauczycielami i uczniami były wyraźnie

wyrysowane, a osobowości uczących posiadały moc kształtowania młodych umysłów? Pierwotny cel publikacji był niezwykle ambitny. Założono, że uda się opisać przebieg budowy szkoły, opowiedzieć o procesie edukacyjnym, zebrać nazwiska wszystkich uczniów i pracowników, ukazać funkcjonowanie szkoły na tle przemian ustrojowych, sportretować jak największą ilość nauczycieli, i last but not least – oddać głos najbarwniejszym absolwentom Czternastki i gimnazjalnej Piątki. Nie wszystko udało się nam zrealizować. Zadecydował o tym brak odpowiednio szerokiej dokumentacji. Szkolne archiwa sięgają najdalej do czasów gimnazjalnych, a to, co wcześniej, prawie nie istnieje w materialnej formie. Dokumentów na temat Czternastki nie znajdziemy ani w olsztyńskim Archiwum Państwowym, ani w wydziale oświaty czy nawet w kuratorium. Likwidowano te „papiery”, zgodnie zapewne z jakimś urzędowym prawem dotyczącym karencji i przechowywania, bez zbędnego sentymentu. To dość zrozumiałe – nie istniał żaden racjonalny ani emocjonalny powód, by je przetrzymywać. Nikt o tę przeszłość się nie upominał. Szkoła jak szkoła – jedna z wielu olsztyńskich podstawówek, tysiąclatek. W niczym z pozoru szczególna. Wrosła w okolicę i stała się tak oczywista, że prawie niezauważalna. Takie podstawówki jak Czternastka nie obrastają legendami, jak to się często dzieje w przypadku liceów. Faktu jej ukończenia nie wpisuje się do CV, nie gromadzą się wokół niej wdzięczni i utożsamiający się z nią absolwenci. Dlaczego więc ktoś miałby szukać, drążyć?

Jednak mimo tego jakby naturalnego procesu zapominania istnieje pewna bardzo zwyczajna dyspozycja ludzka – ciekawość. Ciekawość ludzi, dodajmy. A jeśli połączymy ją z wielką admiracją dla sztuki pogłębionej rozmowy – z tymi, którzy uczyli i których uczono, nie zapominając o ważnej grupie pracowników administracji, bez których żadna nauka nie byłaby możliwa – to niejako samo przez się powstaje książka. Wystarczy słuchać tego, co inni chcą powiedzieć o sobie. Z rozmów tych, niejako mimowolnie, wyłonił się bardzo rzetelny obraz polskiej edukacji na przełomie kilku dekad, jej cieni i blasków, przemian, tąpnięć i sukcesów. Tak, jest to swoiste studium przypadku – w opisie którego,

wierzimy, że wielu z nas, nieuczących się w olsztyńskiej Czternastce odnajdzie fragment własnego szkolnego doświadczenia.

Za punkt wyjścia autorzy wspomnień biorę własne doświadczenia, które jest im dane jako autonomiczne. Jest ono postawione ma miejscu pierwszym względem zjawisk społecznych. Własne doświadczenia traktują jako absolutnie pierwotne. Jest to doświadczenie wpisane w istotę *homo sapiens*. Człowiek chce zrozumieć sens swego jednostkowego doświadczenia. Od początku naszego ludzkiego istnienia dążymy przecież do samodzielnego doświadczenia i rozumienia świata, a nie wyłącznie do jego wyjaśniania na podstawie wiedzy już istniejącej. Zgodnie z tymi założeniami autorzy wspomnień opisywali swe wewnętrzne przeżycia wartości, które narodziły się poprzez doświadczenie nauki w tej olsztyńskiej podstawówce. Opisywali doświadczenia czegoś, co ich zdziwiło. Zawieszali i eliminowali teoretyczne założenia i abstrakcje. Wartości przeżyte traktowali jako konkretne. Jest to kilka wejrzeń w proces nieustannych przemian kulturowych, którego jesteśmy świadkami, a może i czasem uczestnikami.



Z PERSPEKTYWY NAUCZYCIELI

Najważniejsi są uczniowie

Pani dyrektor, jak wspomina Pani swoją pracę w Czternastce?

Danuta Ciborowska: Pracę w Czternastce rozpoczęłam 1 września 1972 r. To były czasy, kiedy o miejscu pracy nauczycieli decydował wydział oświaty, a ten skierował mnie do dwóch szkół. Wychodząc z urzędu zaczęłam się zastanawiać, do której szkoły mam pójść najpierw. Niespodziewanie natknęłam się na koleżankę, która pracowała w SP 14 i bardzo tę szkołę chwaliła. Dlatego najpierw na rozmowę poszłam właśnie do Czternastki i już tam zostałam. Przez wiele lat uczyłam języka polskiego, w roku 1982 zaproponowano mi funkcję wicedyrektora, następnie dyrektora szkoły. W sumie w Czternastce przepracowałam 23 lata do 1995 r.

Doskonale wspominam ten czas. SP14 od momentu powstania zdobyła wyjątkowo dobrą opinię w środowisku oświatowym i wśród Rodziców, którzy chcieli, by ich dzieci uczyły się właśnie tutaj. Od pierwszych lat istnienia była to placówka eksperymentalna, w której wdrażano priorytetowe i nowoczesne jak na tamte czasy systemy nauczania i wychowania. Była to niewątpliwie zasługa wszystkich od początku dyrektorów, zaczynając od p. Andrzeja Gerszberga, następnie p. Zygmunta Turejko, p. Lesława Kleszczyńskiego czy p. Jana Jabłońskiego. Ale też stanowczo zasługa wszystkich pracowników szkoły, w tym znakomitej kadry nauczycielskiej, równie ważnej i świetnej kadry administracyjno-obslugowej i niezwykle zaangażowanych w życie szkoły Rodziców.

Uczniowie Czternastki odnosili sukcesy sportowe, brali udział w olimpiadach przedmiotowych i wygrywali je, zdawali egzaminy z wysokimi wynikami. Absolwenci naszej szkoły to między innymi naukowcy, liczna grupa wysokiej klasy specjalistów – lekarzy, gwiazdy telewizji, światowi

mistrzowie fryzjerstwa, artyści i wielu przedstawicieli innych potrzebnych zawodów. Raz jeszcze chcę podkreślić, że sukcesy naszych uczniów to ciężka praca i sukcesy nauczycieli. Trudno wymienić wszystkich, więc powiem ogólnie, że każdy z nauczycieli Czternastki był znakomitością pedagogiczną, nie było w kadrze osób przypadkowych. Tacy nie mieli szansy odnaleźć się w tym ambitnym, o wysokich kwalifikacjach gronie.

Jaką szkołę Pani zastała i jakie cele obrała Pani jako nadzór, obejmując stanowisko dyrektora?

Byłam w naszej szkole pierwszym dyrektorem – kobietą. Zależało mi na utrzymaniu wysokiego poziomu nauczania, ale także na stworzeniu takiej atmosfery między pracownikami, która ułatwiłaby pracę i integrowała zespół. To samo dotyczyło rodziców i dzieci. W związku z tym w ramach integracji wyjeżdżaliśmy na wspólne wycieczki, organizowaliśmy różnego rodzaju spotkania poza szkołą, często organizowaliśmy zabawy dla dzieci najmłodszych i tych starszych. W zimie działało lodowisko, w lecie odbywały się różne imprezy i zabawy na powietrzu. Zespół pracowników był coraz bardziej zintegrowany, a przyjaźnie, które się wtedy zrodziły, pozostały do dziś. Dzięki temu praca, mimo różnych trudności (jak to w szkole) stawiała się zdecydowanie łatwiejsza i przyjemniejsza.

Z jakich aspektów współpracy z radą pedagogiczną jest Pani szczególnie dumna i na co starała się Pani kłaść nacisk?

Najważniejszą grupą w szkole są uczniowie. Bez nich nie ma szkoły. Podkreślałam to na każdej radzie pedagogicznej. Jeżeli dziecko miało kłopoty z nauką, to musiało być od A do Z sprawdzone, z czego to wynika. Znając podłoże trudnej sytuacji dziecka, ustalaliśmy metodę, jak mu pomóc. Trudności te wynikały z różnych przyczyn: rodzinnych, koleżeńskich. Wychowawca miał obowiązek utrzymywać stały kontakt z rodzicami swoich uczniów. Każdy miał mieć „w małym paluszk” informacje o swoich uczniach, od rodziny po środowisko. Dzięki tej

wiedzy wyłapywało się różnego rodzaju problemy. Naszym zadaniem było, żeby rodzice rozumieli, że tylko wspólne działanie nauczyciela i rodzica może przynieść pozytywny skutek. Rodzice bardzo nam pomagali w organizowaniu różnego rodzaju imprez i działań wychowawczych.

Wszyscy pracownicy dbali o to, aby dzieci czuły się dobrze w szkole. Pani A. Kozłowska, wieloletnia szefowa kuchni, wraz z personelem dbała, aby żaden maluch nie wyszedł głodny ze stołówki. Pan woźny czuwał, aby starsze klasy nie dokuczały maluchom.

Jakie momenty z życia szkoły wspomina pani najmilej?

Taki moment zdarza się każdego roku – wtedy gdy ósme klasy opuszczają szkołę, a osiem lat wcześniej zaczynali jako maluchy z pierwszej klasy.

W każde wakacje szkoła organizowała dla naszych uczniów kolonie. Wymienialiśmy się z innymi szkołami, np. nasze dzieci jechały do Nowego Targu, tamtejsze dzieci przyjeżdżały do naszej szkoły. Istniało wiele możliwości różnych wyjazdów, w których uczniowie brali udział, jeżeli tylko chcieli.

Warto też dodać, że w czasie mojego dyrektorowania w budynku SP 14 funkcjonowały trzy szkoły: Szkoła Podstawowa Dla Dorosłych, Szkoła Ćwiczeń dla Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Szkoła Podstawowa nr 14. Dzięki temu pozyskiwaliśmy pieniądze na rozwój, a nauczyciele podwyższali swoje kwalifikacje, organizując lekcje dla studentów.

Cieszyły mnie również zawsze informacje dotyczące sukcesów naszych uczniów, bardzo dobrze zdane egzaminy i nagradzani za swoją pracę nauczyciele i inni pracownicy szkoły.

Czy szkoła bardzo zmieniła się za Pani czasów – nie tylko dyrektorskich, ale też nauczycielskich?

Szczegółnej różnicy, jeżeli chodzi o metody nauczania czy jakiegokolwiek reformy, to specjalnie nie widzę. Natomiast zmniejszyła się ilość godzin

dydaktycznych. Kiedy pracowałam jako polonistka, moje pensum wynosiło 30 godzin dydaktycznych. Taki był etat. Do szkoły przychodziło się również w soboty. Przeżyłam cztery reformy edukacji, ale żadna z nich nie wstrząsnęła naszą szkołą, ponieważ od zawsze wyprzedzaliśmy te reformy. Byliśmy w awangardzie zmian. Nauczyciele byli otwarci na nowości i zawsze chętnie wprowadzali innowacyjne metody.

Czego życzyłaby Pani Czternastce na najbliższe lata?

Przede wszystkim jeszcze większej ilości dzieci, utrzymania tej dobrej atmosfery, która jest, i jak najlepszych wyników uczniów. Bo to jest cudowna podstawa do pracy. Jeżeli człowiek idzie z chęcią i uśmiechem na ustach wchodzi do budynku, to już jest 50% sukcesu.

Spokoju, spokoju i jeszcze raz spokoju – bez rewolucji, bez niepotrzebnych „wstrząsów tektonicznych”, jak ja to nazywam. Bo wszystko można i da się przeprowadzić, ale na spokojnie. Rewolucja w szkole nigdy nie zda egzaminu. Edukacja zawsze wymaga ciszy, spokoju i tego życzę z całego serca.



Od projektora do monitora – kilka słów o pomocach dydaktycznych

W dzisiejszych czasach obecność pomocy naukowych takich jak: komputer, ksero, tablice multimedialne, a nawet drukarki 3D i okulary VR nikogo już nie dziwią. Często traktujemy je jako podstawowe wyposażenie sal lekcyjnych, nie doceniając ich zalet. Dzięki wykorzystaniu sprzętu komputerowego lekcje i zajęcia dodatkowe stają się bardziej atrakcyjne dla dzieci i młodzieży. Jednak nie podchodzimy do nich tak entuzjastycznie jak kiedyś.

Przeglądając kronikę szkolną z roku 1965, natknęłam się na zdjęcia telewizora i projektora. Były to pierwsze pomoce naukowe w naszej szkole. Sprzęt ten wywołał duże zainteresowanie i entuzjazm nie tylko wśród uczniów, ale i nauczycieli. Właściwie nie ma się co dziwić, ponieważ do tej pory na lekcjach była do dyspozycji tylko kreda, tablica i podręczniki. Wspomnieć należy również o pracach klasowych czy sprawdzianach. Dzisiaj uczniowie dostają już gotowe formularze dzięki kserokopiarce. Kiedyś pytania musieli przepisać samodzielnie z tablicy.

Obecność projektora to już duży sukces, ale aby w pełni zaprezentować jego możliwości, potrzebny jest materiał dydaktyczny... czyli film. Skąd go wziąć? Temu również potrafiono zaradzić. Wyjaśniają to kolejne wycinki prasowe dotyczące filmu edukacyjnego i jego roli w procesie kształcenia. Szkoły miały określone fundusze na wynajem filmów, a Dział Filmu Oświatowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów zajmował się ich wypożyczaniem. Na uwagę zasługuje fakt, że nasza szkoła przez wiele lat znajdowała się w czołówce placówek, której nauczyciele wypożyczali najwięcej filmów. W jednym roku było ich aż 406, głównie na lekcję biologii i geografii. Jednak nie wszystkie szkoły chętnie korzystały z dobrodziejstw techniki. Były i takie, które mogły pochwalić się tylko kilkoma tytułami udostępnionymi uczniom w ciągu całego roku szkolnego. Nasi nauczyciele nie bali się nowości

i chętnie korzystali z dostępnych na te czasy nowoczesnych środków dydaktycznych. Do tej pory uczniowie mogli oglądać jedynie nieruchome ilustracje w książce. Film zlikwidował tę barierę. Ukazał całe bogactwo zjawisk przyrodniczych, społecznych i technologicznych.

Dzięki postępowi technologicznemu korzystamy z nowoczesnego sprzętu, który posiada coraz więcej funkcji. Czasami warto wspomnieć uczniów, nauczycieli, którzy mieli ograniczony dostęp do materiałów dydaktycznych, a mimo to dzielnie stawiali czoło codzienności, wykorzystując dostępne im pomoce, aby lekcje były jak najbardziej interesujące.



Praca, ale przede wszystkim przyjaźń

rozmowa z Małgorzatą Sochą i Katarzyną Potrapeluk

Małgorzata Socha i Katarzyna Potrapeluk to nauczycielki, o których absolwenci Czternastki i Gimnazjum nr 5 wspominają niezwykle często. Zawsze ciepło i z szacunkiem. Pani Socha była wymagająca i sprawiedliwa – podkreślają byli wychowankowie, a pani Potrapeluk – człowiek o złotym sercu – nieustannie organizowała jakieś akcje charytatywne. Prawdziwe legendy tej szkoły.

Legendy często jednak mają to do siebie, że w ogóle tak siebie nie postrzegają. I denerwują, gdy ktoś chce postawić je na jakimś piedestale. Albo o nich zanadto czołobitnie napisać. Dlatego pewnie obie panie dość długo rozważały, czy przyjąć zaproszenie na wspomnieniową rozmowę. Ze szkołą pożegnały się jakiś czas temu – w poczuciu satysfakcji i spełnienia, ale bez fanfar i celebry. Teraz zaś z właściwym sobie entuzjazmem oddają się sprawom ważniejszym, czyli radości życia bez zawodowych zobowiązań.

Kiedy wreszcie doszło do spotkania, następuje gafa za gafą. Ja, pracująca w Czternastce od roku, proponuję, że zaprowadzę panią Małgosię i panią Kasię do pokoju nauczycielskiego. Nauczycielkom znającym to miejsce od ponad trzydzieści lat (a nawet dłużej, o czym za chwilę przeczytacie), planuję pokazać pokój, w którym spędziły tyle przerw, omówiły tak wiele spraw i wypity hektolitry kawy!

A potem – w ferworze rozmowy oczywiście – nazywam je „nauczycielkami w stanie spoczynku”! „Zwłaszcza ten »spoczynek« mi się podoba.” – komentuje pani Socha. Mówi pięknym, dźwięcznym głosem i sprawia wrażenie osoby, która przeczytała wszystko, ale nie użyje swej

erudycji przeciwko mnie. Pani Potrapeluk wykazuje się podobną wyrozumiałością – energiczna i pogodna, reaguje na moje faux pas jedynie pobłażliwym uśmiechem.

Rozmowa toczy się oczywiście na ich warunkach. Zamiast o sobie i własnej pracy woła opowiadać o innych nauczycielach – mistrzyniach i mistrzach z przeszłości, koleżankach i kolegach z grona nauczycielskiego, a także o niepedagogicznych pracownikach szkoły. Koniecznie musicie o nich wszystkich napisać – upominają. Życzliwie upominają, po przyjacielsku. Napiszcie o naszej wspólnej pracy i przyjaźni.

Bo tym właśnie była dla nich Czternastka i Gimnazjum nr 5.

Jak długo była pani związana z Czternastką?

Małgorzata Socha: Pracowałam tutaj od roku 1990 do 2019. Najpierw w podstawówce, później w gimnazjum, a po ich likwidacji znów w szkole podstawowej.

Mój związek z tą szkołą jest jednak zdecydowanie dłuższy – ja się tutaj uczyłam. Urodziłam się w roku, w którym powstała, czyli w 1959 roku, a uczennicą zostałam w 1966 roku. Rosłam więc z Czternastką.

Powspominajmy najpierw pani lata uczniowskie. Jaka to była szkoła?

M.S.: Dla mnie była po prostu dobra. Być może dlatego, że byłam wzorową uczennicą, nie miałam kłopotów, zawsze też lubiłam aktywność społeczną. Tutaj znajdowałam pole do różnorodnego działania, wszechstronnego rozwoju – czas podstawówki to był dla mnie dobry, pozytywny okres. Poza tym bardzo angażowało mnie granie w piłkę ręczną, w drużynie prowadzonej przez pana Michał Głowackiego, który dla sportu i dla życia szkolnego zrobił bardzo dużo.

Drużyna pana Głowackiego miała znakomite osiągnięcia sportowe. Szkoła w ogóle stała sportem, pomimo tego, że warunki były jakie były i, jak widać, dotąd niewiele się zmieniły. Zimy były wówczas solidniejsze, więc pan Błażewicz, nasz woźny, wylewał wodę na boisko przy budynku, a potem na Kromera (teraz jest tam plac zabaw, a w moich uczniowskich czasach tamten plac był przez szkołę solidnie używany, w zasadzie powstał dla niej). Na lodowisku mogliśmy jeździć nie tylko w czasie lekcji wychowania fizycznego, ale również po zajęciach szkolnych, wypożyczaliśmy tam łyżwy. Życie sportowe funkcjonowało wtedy inaczej, bo też zapotrzebowanie na ruch wśród młodzieży było większe niż dzisiaj.

Dyżury na lodowisku pełnili rodzice, którzy w ogóle mocno angażowali się w życie szkoły.

Dyżurowali zresztą nie tylko tam, również w okolicach szkoły. Chodzili na patrole mające na celu zapewnienie uczniom bezpieczeństwa. Nie wiem, z czego to wynikało – być może była to inicjatywa ówczesnej milicji, może pomysł wyszedł od władz miasta, bo coś tu się działo niepokojącego. Jako uczennica nie za bardzo wiedziałam, o co w tym chodzi. Natomiast pamiętam, że z mamą odbyłam taki spacer patrolowy wokół szkoły.

Poza tym trzeba pamiętać, że nie istniała funkcja pedagoga szkolnego. Sprawował ją wyznaczony nauczyciel – w moich czasach to była pani Jadwiga Nadratowska, którą wspierała moja mama.

Bardzo dobrze o tym wiem, bo wizyty pani Nadratowskiej w sprawie uczniów były w naszym domu wyjątkowo częste. Wraz z nią, a często też w towarzystwie trzeciej osoby, mama chodziła do uczniów na wizyty domowe, interwencje. Szkoła była zobowiązana do włączenia rodziców.

Katarzyna Potrapeluk: Ten obowiązek funkcjonował bardzo długo, nie tylko za naszych uczniowskich czasów. Również w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych jako wychowawcy mieliśmy takie zadanie,

też chodziliśmy do domów, żeby poznać środowisko dziecka. W sprawozdaniach rocznych musieliśmy wykazać, ile takich wizyt zrealizowaliśmy i kogo odwiedziliśmy.

Jak to wpływało na wasze relacje z rodzicami? Nie było źródłem konfliktów, niechęci?

K.P.: Wręcz odwrotnie. Przede wszystkim – zawsze się na te wizyty umawialiśmy. Relacje z rodzicami były dobre, spójne – takie przynajmniej jest moje doświadczenie. Chętnie angażowali się w różne działania – byli w szkole w pozytywny sposób obecni. Spotkania z nimi były zawsze przyjemne.

M.S.: Takie zaufanie się z tym wiązało. Rodzice przyjmowali nasze wizyty i inne działania jako wyraz troski o dzieci, a nie wścibstwa. Nie zawsze dało się pomóc, ale dzięki wizytom w domach lepiej rozumialiśmy sytuację. Mogliśmy otoczyć dziecko troską, zadbać, by nie miało żadnych kłopotów.

Czyli tak, pani Małgosiu: szczęśliwa i wzorowa uczennica, działaczka, piłkarka ręczna, wykorzystująca do granic możliwości, jakie daje ta szkoła. A potem pracownica szkoły, nauczycielka.

M.S.: Ale nie od razu po studiach zaczęłam pracować tutaj – było to siedem lat później.

Zadecydował sentyment?

M.S.: Nie, względy czysto praktyczne – chciałam pracować blisko do domu. Mieszkam dosłownie trzy minuty stąd.

Pierwsza refleksja po powrocie?

M.S.: Wchodzę na salę gimnastyczną i przeżywam szok, że ona jest taka mała! A była przecież taka duża! Myśmy tam regularne mecze piłki ręcznej rozgrywali!

Były jeszcze inne szoki?

M.S.: Nie, raczej poczucie, że powróciłam do siebie. Pracowało wtedy wielu nauczycieli, którzy mnie uczyli, z którymi byłam związana. Wszyscy mnie bardzo serdecznie przyjęli.

K.P.: Trudno się dziwić – powróciło na łono ich złote dziecko, wzorowa uczennica. Jak mogliby się nie cieszyć!?

M.S.: (śmiech) Myślę, że się spodziewali, że nie będzie ze mną kłopotów. Przyjmowała mnie dyrektor Ciborowska, która wtedy była na urlopie, ale wiem, że ona też miała wpływ na tę decyzję. Dyrektor Ciborowska zaczynała uczyć języka polskiego, kiedy ja chodziłam do szkoły. Stąd pewnie ta serdeczność.

Kilkanaście lat wcześniej sama była w podobnej sytuacji.

M.S.: A poza tym trafiłam na te tutaj koleżanki (pełne serdeczności spojrzenie w kierunku pani Kasi), które okazały się cudem. I powiem tak: w tej szkole – przede wszystkim w **Gimnazjum nr 5** – przeżyliśmy piękne lata. Mówię to bez żadnego cudowania, cukrowania.

Co się na te dobre lata składało?

M.S.: Przyjaźń. Tu narodziły się przyjacielskie relacje, które utrzymujemy do dziś. Co roku pod koniec lata, ale też przy wielu innych okazjach, spotykamy się z byłymi pracownikami Gimnazjum nr 5. Kto może, ten przychodzi, i są to zawsze bardzo serdeczne spotkania.

Jak się takie przyjaźnie buduje?

M.S.: Nam do dobrego funkcjonowania niepotrzebne były rady, posiedzenia, bo wszystkie sprawy omawialiśmy podczas spotkań osobistych. Na przerwie, przed lekcjami...

K.P.: Telefonicznie po południu...

M.S.: ...co wzbudzało gniew w naszych rodzinach...

Rodziny nauczycielskie to odrębny i wcale niełatwy temat, prawda?

M.S.: Oj tak. Mam w związku z tym anegdotkę. Kiedyś podczas zebrania pewien pan dość odważnie i szczerze zapytał, jak ze mną wytrzymuje mąż. Bo on też ma żonę polonistkę, i nie jest lekko. A ja na to: „Mój mąż chodzi grać w siatkówkę!”

Wracając do pracy, przepływ informacji między nami nie ustawał. Ustalaliśmy na przykład: „Wczoraj dowiedziałam się, że to dziecko ma problemy. Dajmy mu spokój, nie pytajmy, powiedzmy mu szczegółowo, kiedy ma się przygotować, zapytamy go wtedy i wtedy. Bronimy go, nie może dostać oceny takiej czy takiej, musimy je wyciągnąć, bo się stara pójść tu i tu, a w domu jest nieciekawie”. Pamiętam takiego chłopca, z klasy Wojtka Kaski, którego mama była śmiertelnie chora. Chłopiec zachowywał się tak, że zasługiwał na ocenę naganną. Wojtek na radzie powiedział: „A ja na to nie pozwolę!”. My wszystko wiedzieliśmy wcześniej, ale trzeba było poruszyć temat na radzie, musiało to być zaprotokołowane. Wiedzieliśmy o tym, bo myśmy ciągle rozmawiali.

Tak się to wszystko między nami odbywało.

K.P.: Nigdy nie było takiej sytuacji, żeby ktoś postawił sprawę na ostrzu noża, powiedział: „Ja na to nie pozwolę!”. Zawsze działaliśmy na korzyść ucznia.

M.S.: A największą obrończynią uczniów, najwspanialszą, była Irenka Podolak. Irenka przede wszystkim widziała w uczniu człowieka. Młodego, zawikłanego w różne sytuacje. I broniła go jak lwica. Czasami mówiłyśmy jej, że tak nie można, że jest zanadto wyrozumiała, ale to ona miała rację – za każdym razem.

Szczerze mówiąc, tego, jak być wychowawczynią, nauczyły mnie moje koleżanki, między innymi siedząca tu naprzeciwko Katarzyna.

K.P.: Przeginasz!

M.S.: Wcale nie przeginam! Wasze doświadczenie i rady były bezcenne! Miałam wielkie szczęście, że zawsze prowadziłam klasę równoległą z Iwoną Brudzewską. Wspólnie organizowałyśmy wyjazdy z młodzieżą. Iwonka mi pokazała, że w wychowaniu nie można stosować systemu zero-jedynkowego, że są różne odcienie szarości. Że trzeba zrozumieć – młodzi ludzie muszą zaszałeć. Że trzeba zauważać błędy, ale nie robić tragedii z tego...

K.P.: Rozkręcać od razu afery...

M.S.: Miałyśmy też takiego farta, że trafiałyśmy na mądrych rodziców. No i jeśli dziecko przeskrobało solidnie, to się to kończyło na rozmowie z rodzicem, który rozumiał sytuację i karał swoje dziecko, ale na przykład nie odnotowywałyśmy tego w dokumentacji szkolnej.

Unikałyśmy gnębienia młodego człowieka, który ma prawo głupio się zachowywać, bo... jest w takim wieku!

K.P.: Wcześniej podobnie postępowała pani Kijak, która w dawnych latach uczyła tutaj geografii, między innymi mojego męża. Gosia już jej nie poznała...

Jako grono pedagogiczne najpierw Szkoły Podstawowej nr 14, potem Gimnazjum nr 5 i znów Czternastki przeżyliście, przeszliście dużo zmian organizacyjnych. Co pozwoliło wam przetrwać ten czas? I jak te zmiany na was wpłynęły?

K.P.: Byliśmy gronem bardzo zintegrowanym. I tutaj znów musimy wspomnieć o Iwonie Brudzewskiej, matematyczce. Wprowadziła taką tradycję, że zawsze wszyscy mówili sobie na „ty”.

W szkołach nie zawsze było takie oczywiste i łatwe do zrobienia.

K.P.: U nas natomiast w ogóle nie było bariery wieku, doświadczenia. Ktokolwiek nowy przychodził, od razu przechodziło się z nim na „ty”.

No a poza tym w pokoju nauczycielskim odbywały się różne przyjęcia, poczęstunki. Oczywiście w trakcie przerw.

M.S.: I to znikło później.

K.P.: Zostawaliśmy po radzie.

M.S.: Znaczący – regularnie zostawaliśmy.

Trzeba było przegadać różne rzeczy.

M.S.: Potem to też zniknęło.

K.P.: Bardzo istotna była tradycja naszych wspólnych wyjazdów. Organizowała wszystko Danusia Trawczyńska, kierowniczka administracji. Danusia przyczyniła się do integracji wszystkich pracowników szkoły niepomniernie. Było to jeszcze w czasach, kiedy pensję wypłacała nam pani sekretarka, każdy dostawał należną mu kwotę w kopercie. Danusia stała obok z listą i od razu potrącała składkę – oczywiście za naszą zgodą! Zbierała pieniądze na wycieczki, uroczystości, a wszystko zapisywała w wielkim zeszycie.

Istniały jeszcze inne fundusze – np. imieninowy. Składaliśmy się, a potem ktoś dostawał piękny prezent.

Takie to były czasy – dziś już chyba niewyobrażalne.

M.S.: Wracając do zmian, znosiliśmy je dobrze dlatego, że byliśmy razem. Uczyliśmy się od siebie wzajemnie, motywowaliśmy do rozwoju. Kiedy nadszedł czas komputerów, przez tę rewolucję technologiczną przeprowadził nas Wojtek Kaska. Inicjatorką była Ewa Kozłowska, która zawsze mówiła „My to musimy umieć!”. Wojtek zachęcił do dziennika elektronicznego, stworzył pracownię komputerowe. Niczego się nie bał.

Mieliśmy też szczęście do dobrych dyrektorów. To jest bardzo ważne. Ci dyrektorzy nie bali się, wolni byli od lęku wobec przełożonych. Respekt owszem, ale nie lęk. W związku z tym nie zadręczali nas tworzeniem dokumentacji, która miała nas asekurować. Bo w trudnej sytuacji papiery i tak nikogo nie uchronią.

K.P.: Dyrektor Żukowska nie lubiła nadmiaru biurokracji, więc ograniczała naszą sprawozdawczość do niezbędnego minimum.

M.S.: Dyrektor Kozak to przejęła. Zresztą wspomniana już wcześniej pani Ciborowska też tego nie kochała.

K.P.: Dyrektor Ciborowska to był niesamowity człowiek. To ona przyjęła mnie do pracy... żebym uczyła plastyki.

Plastyki?! Nie biologii?

K.P.: Biologii uczyła tutaj pani Opieczonek – ikona tej szkoły. Dla kolejnej nauczycielki tego przedmiotu nie było wtedy godzin.

Powróćmy więc do tej plastyki.

K.P.: Pani Bednarczyk, ówczesna nauczycielka tego przedmiotu, zdecydowała się pójść na urlop zdrowotny. Przysłałam więc na zastępstwo, na rok. Uczyłam tej plastyki, nie mając zielonego o niej pojęcia! Dyrektor Ciborowska oczywiście wiedziała o tym. Powiedziała jednak, że nie mam się czego bać, bo wszyscy mi pomogą. I tak właśnie było.

Anegdota jest taka, że na koniec tego roku pracy dostałam nagrodę dyrektora.

To musiało być niezwykle twórcze zastępstwo!

K.P.: Po roku nauczania plastyki pani Ciborowska zaproponowała mi, żebym została.

I została pani na trzydzieści lat, które zaowocowały kolejnymi nagrodami...

K.P.: (uwagę o nagrodach zbywa uśmiechem). Mówiąc o biologii, trzeba koniecznie wspomnieć o Halince Opieczonek, którą potem zastąpiłam. Halinka Opieczonek przepracowała w Czternastce całe życie zawodowe. Jej miejscem była sala nr 40. Przychodziła rano, karmiła zwierzątka, podlewała rośliny, włączała radio, robiła sobie kawkę i tak zaczynała dzień. Była wybitną nauczycielką biologii, takich jak ona kiedyś nie było zbyt dużo i dziś nie ma wiele. Za swoją pracę otrzymała nagrodę ministra edukacji. Angażowała się w harcerstwo. Prowadziła lekcje pokazowe. I to ona zainicjowała w Czternastce działalność szkoły ćwiczeń. Była prekursorką, a my jej pracę kontynuowaliśmy.

M.S.: Trzeba jeszcze dodać, że nie bała się techniki, nowinek. Czasy bardzo siermiężne, a u niej na lekcjach zawsze był projektor filmowy.

K.P.: Na każdej lekcji oglądaliśmy jakiś film edukacyjny. Najpierw przynosiła je z wypożyczalni przy Wojska Polskiego, a potem z biblioteki pedagogicznej.

Halinka nauczyła mnie później obsługi tego monitora.

M.S.: W ogóle jeśli chodzi o wyposażenie szkoły, nie wyglądało to źle – jak na tamte czasy. Fantastycznie wyposażona była pracownia fizyki. Opiekowała się nią bardzo oddana szkole Barbara Ciombor. Kadra realizowała programy nowoczesnego nauczania. W starszych klasach uczniowie siedzieli przy dużych stołach, tworzyli grupy. Nauczyciele ustalali ich skład na cały rok, nie wolno było zmieniać miejsca. Dziś pracę w grupach postrzega się jako metodę atrakcyjną i odkrywczą, a w Czternastce praktykowano ją od dawna.

Tutaj zawsze pracowali świetni nauczyciele. Nie tylko Halinka Opieczonek, ale również Tosia Ziarek, Maria Dyro, Hanna Mieloch. Bardzo solidni ludzie.

K.P.: Mój mąż wspomina z wielkim sentymentem pana Jabłońskiego.

M.S.: Też był ważną osobą.

K.P.: Doskonale wyposażył pracownię ZPT.

M.S.: Uczyłam się w czasie, gdy pracował pan Jabłoński. Pracownia techniki dla chłopców była rewelacyjna. Znajdowały się tam rozmaite urządzenia. Oni tam w drewnie pracowali, spawali, robili lampki...

Dziewczyny też miały lekcje z panem Jabłońskim – przez jedno półrocze. Było to półrocze grozy, a wszystko przez rysunek techniczny. I to nie było taki rysunek! Pan Jabłoński sprawdzał wszystko co do milimetra. Dużo dwój wtedy wpadało. Pani dyrektor zawsze tak ustalała, że zajęcia z nim były w pierwszym semestrze, w drugim półroczu następowała zmiana nauczyciela. I od razu uczennice miały lepsze stopnie!

Mądra dyrekcja.

M.S.: Pan Jabłoński był osobą zasadniczą i radykalną, ale w pozytywnym sensie. Podobnie jak pani Opieczonek, prowadził harcerstwo – świetnie to robił, było bardzo dużo chętnych.

Jeśli chodzi o geniuszy nauczania, to my tutaj w szkole mieliśmy taką panią z edukacji wczesnoszkolnej – Renatę Pasymowską, która teraz pracuje w Dziesiątce. Spieszcie się oddać pod jej opiekę dziecko, jeśli macie siedmioletnie, bo pani Renata niebawem odchodzi na emeryturę!

Wspomniały panie o Szkole Ćwiczeń – na czym ta działalność polegała?

M.S.: Na nasze lekcje przychodzili studenci, którzy przygotowywali się do pracy nauczycielskiej. Przychodzili, by uczyć się od praktyków. Z danym nauczycielem związana była określona grupa: Kasia miała pod opieką przyszłych nauczycieli biologii, Krysia Wypych i ja – języka polskiego.

K.P.: Najpierw obserwowali nasze lekcje, a później każdy po kolei musiał zajęcia prowadzić sam.

M.S.: Pomagałyśmy im przygotować zadania, materiały.

Ale tzw. praktykanci w Czternastce byli już wtedy, gdy byłam uczennicą. W klasach młodszych moją wychowawczynią była pani Dyro. Do niej po naukę przychodzili studenci nauczania początkowego, liczne grupy.

Czternastka powstała chyba właśnie z taką myślą, że tutaj będą się kształcić przyszli nauczyciele.

I tak wszyscy uczyli się od wszystkich – młodsze pokolenia nauczycieli od starszych, studenci od praktyków, wy od siebie nawzajem. Wspólna praca i przyjaźń.

M.S.: Kasia na przykład uczyła nas działalności charytatywnej. To, co ona wyprawiała, było niesamowite! Co chwilę przychodziła z nową inicjatywą.

K.P.: Natomiast Gosia była dla nas zawsze autorytetem. Mądrość życiowa, dojrzałość, perfekcyjne przygotowanie. Natomiast jeśli chodzi o ten wolontariat...

M.S.: To cała twoja dusza, Kasiu.

K.P.: Robiłam to wszystko, bo dzieci chciały. A jak to się zaczęło?

Kroniki szkolne odnotowują pani zaangażowanie w akcję Sprzątania Świata, to był rok '95. Ale nie sędzę, żeby na tym ta działalność się kończyła!

K.P.: Inicjatyw było dużo. Z Bankiem Żywności weszliśmy w bardzo ścisłą współpracę. Dzieci uczestniczyły nawet w programie naukowym, organizowanym przez Polska Akademię Nauk, badały florę bakteryjną mleka. Przez pół roku popołudniami jeździłam z nimi do technikum

chemicznego i robiłam te badania. Na zakończenie projektu zorganizowano dla nas wspaniałą imprezę. To wszystko działo się przede wszystkim w czasach gimnazjum.

Bardzo poważnie zaangażowaliśmy się w naukę pierwszej pomocy.

M.S.: Wszyscy byliśmy w kółko szkoleni.

K.P.: Tu mam wielką satysfakcję, bo wielu moich byłych uczniów kontynuuje działalność w tym aspekcie. Niedawno rozmawiałam z jedną z dziewcząt. Teraz współpracuje z Jerzym Owsakiem i szkoli nauczycieli z pierwszej pomocy.

Co z perspektywy kilku lat emerytury (już ustaliłyśmy, że bardzo aktywnej), z niewielkiego oddalenia od szkoły zdefiniowałyby panie jako swój największy sukces?

M.S.: Lubimy się i nadal spotykamy. A gdy spotykamy uczniów, to oni do nas podchodzą.

K.P.: Dzięki dobrym relacjom z uczniami można się dostać szybciej na jakieś badania (śmiech).

M.S.: Tak samo jest z rodzicami. Zawsze przystajemy i gadamy: „A jak tam Grzesiek? A jak tam Wojtek?”

K.P.: Wielu uczniów kontynuuje to, co się zaczęło w szkole. Działają w organizacjach charytatywnych.

M.S.: Piszą, występują na scenie.

K.P.: A poza tym te dzieci nieustannie się przewijają... i chcą być pamiętane! Jeden z byłych uczniów niedawno montował mi bramę. Bardzo był zawiedziony, że go nie poznałam, a on w latach szkolnych był taki zaangażowany, uczestniczył w kole biologicznym.

M.S.: Mnie też przytrafiło się coś podobnego. To było całkiem niedawno, na początku lata. Jechałam gdzieś autobusem. I raptem dziewczyna siedząca gdzieś z przodu wygrzebuje się ze swojego miejsca i kieruje w moją stronę. „O, pani Socha. Pani mnie uczyła, w ósmej klasie!”. A to była moja ostatnia tutaj ósma klasa. „I wie pani, że ja jestem na polonistyce! Uczę tak, jak mnie pani uczyła.”

Ciekawy jest ten przepływ pokoleń. Bo ja z kolei uczyłam tak jak moja polonistka z Czternastki, pani Maria Józwowicz. Pracowała tutaj krótko. Genialna, jeśli chodzi o pracę metodyczną.

Kto wie, może za kilka lat ta pani uczennica będzie pracować w Czternastce. A uczniowie pani Kasi przyjdą do szkoły i będą szkolić dzieci w dziedzinie pierwszej pomocy?



Wolontariat w Czternastce

Wolontariat odgrywał i nadal odgrywa bardzo ważną rolę w naszej szkole. Nie sposób w tym miejscu nie wspomnieć o pani Katarzynie Dembickiej-Potrapeluk, jednej z ważniejszych inicjatorek tej działalności w naszej szkole. Zanim powstało koło wolontariuszy, pani Potrapeluk organizowała i kierowała wieloma akcjami, takimi jak m.in. Sprzątanie Świata. Z okazji Dnia Ziemi uczniowie przeprowadzali zbiórki makulatury, a pieniądze z jej sprzedaży przekazywali różnym organizacjom, m.in. Schronisku dla Zwierząt.

Pani Kasia prowadziła też szkolne koło PCK. Energia i zaangażowanie tej wyjątkowej osoby w 2002r. zostały nagrodzone przez uczniów nominacją do tytułu „Nauczyciela Roku”.

Uczniowie ze szkolnego koła PCK uczestniczyli w wielu akcjach organizowanych na terenie ówczesnego gimnazjum i miasta. Były to głównie: zbiórki żywności, kwesty, olimpiady zdrowego stylu życia, sprzedaż czekolad-cegiełek PCK. Za swoją działalność szkoła oraz wolontariusze otrzymywali podziękowania, pochwały, nagrody.

W związku z rocznicą odzyskania niepodległości zaangażowani uczniowie wraz z chórem szkolnym odwiedzali Domy Pomocy Społecznej. Koncerty pieśni patriotycznej zawsze spotykały się z wielkim wzruszeniem pensjonariuszy.

W 2011r. jedna z podopiecznych pani Kasi uzyskała tytuł laureata w Samorządowym Konkursie Nastolatków „Ośmiu Wspaniałych”. Jest to konkurs skierowany do młodych wolontariuszy.

W tym samym roku wolontariusze od października do grudnia brali udział w realizacji projektu fundacji Prymus i Albatros na rzecz wolontariatu przyrodniczego. Raz w tygodniu, w piątki po lekcjach i w soboty, młodzież wyjeżdżała na wycieczki do schroniska dla zwierząt, ośrodka

rehabilitacji ptaków dzikich w Bukwałdzie, Radia Olsztyn, Planety II, Olsztyńskiego Centrum Wolontariatu – Spinacz. Spotykali się z wolontariuszami, uczyli się, na czym polega ta działalność.

W 2013r. ponownie na Gali „Ośmiu wspaniałych” w Urzędzie Miejskim wyróżnienie otrzymało koło wolontariuszy z naszego Gimnazjum.

W 2014r. nasza szkoła postanowiła wesprzeć fundację Ankizy Gasy „Dzieci Madagaskaru”, która pomaga poprzez tzw. adopcję dziecka na odległość. Dzięki temu dziecko może uczyć się w szkole, otrzymać niezbędne przybory, mundurek, i jeść obiady w szkolnej stołówce. Szkoła wspierała najpierw Oliwiera, a po zakończonej przez niego edukacji opieką otoczyła Marie. W 2016r. szkołę odwiedziła pani Katarzyna Białous – współzałożycielka fundacji „Dzieci Madagaskaru”. Uczniowie zapoznali się z misją fundacji, działaniami, które wspierają ubogie dzieci na Madagaskarze, jak również codziennymi zajęciami wolontariuszy.

Nasze koło wolontariuszy zawsze było bardzo chętne, aby pomóc i wesprzeć najbardziej potrzebujących. Jego członkowie przyłączali się do kolejnych przedsięwzięć, np.; wspierali akcję „Szlachetna Paczka”, współpracowali z Bankiem Żywności w Olsztynie. Dzięki wolontariuszom zebrano żywność, którą następnie przekazano organizacjom i instytucjom zajmującym się dożywianiem dzieci. Brali udział w akcji „Kilometry dobra” oraz cały czas współpracowali ze schroniskiem dla zwierząt.



Twarda dyrektor na ciężkie czasy

rozmowa z panią Elżbietą Żukowską

Zanim zaczęła Pani swą dyrektorską przygodę w Czternastce, wiele lat pracowała pani jako nauczycielka matematyki. Też w Czternastce?

Pracowałam w szkole 30 lat. Nie wszystkie te lata przepracowałam w Czternastce – najpierw długo uczyłam matematyki w SP 25. Bardzo lubiłam pracę dydaktyczną. Później, będąc już dyrektorem, wspominałam te czasy z sentymentem. I naprawdę zazdrościłam nauczycielom. Wykonywali swoje obowiązki i nic ich więcej nie obchodziło. A dyrektor jest odpowiedzialny za wszystko. Musi się tłumaczyć z każdego błędu popełnianego przez pracowników.

A jednak zdecydowała się pani zmierzyć z tym zadaniem. W jakich okolicznościach?

Pani Ciborowska, ówczesna dyrektor Czternastki, szukała drugiego wicedyrektora. Przybywało dzieci, potrzebowała więc wsparcia. Poprosiła znajomych zarządzających szkołami o polecenie kogoś odpowiedniego. Mnie zarekomendował dyrektor SP25, pan Stanisław Gierba. Kiedy przyszłam na rozmowę, byłam mocno zestresowana, jednak pomyślne przeszłam kwalifikację. I tak się tutaj znalazłam. Jako wicedyrektor zajmowałam się przede wszystkim sprawami dydaktycznymi. Kiedy pani Ciborowska została posłanką, przez jakiś czas pełniłam obowiązki dyrektora, a potem już nim formalnie zostałam.

Jak mi się tutaj pracowało? Bardzo dobrze, ale miałam swoje zasady. Jako dyrektor weszłam w środowisko, którego nie znałam. Uważam, że to jest najlepsza z możliwych sytuacji. Nikogo się nie wyróżnia, nie faworyzuje, każdy traktowany jest równo.

Kończąc pracę, przechodząc na emeryturę, na „ty” byłam może z sześcioma osobami. Należałam do dyrektorów unikających nadmiernego spoufalania się, bo według mnie nie jest to dobre. Nie wszyscy nauczyciele, pracownicy umieją dostrzec tę subtelną granicę, której się nie przekracza. Czasami mogą wykorzystać nadmierną zażyłość. Starłam się do tego nie dopuścić.

Nauczyciele chyba to rozumieli i akceptowali. Wspominają panią bardzo dobrze.

Miło mi to słyszeć. Skąd ta nasza dobra współpraca? Każdy nauczyciel wiedział, co ma robić, a ja starałam się nie przeszkadzać. Oczywiście kontrole musiały być, na tym między innymi polega praca dyrektora. Przyznam jednak, że niektóre hospitacje były dla mnie żenujące. W mojej szkole pracowali nauczyciele o zdecydowanie większym doświadczeniu niż ja. Na przykład pani Opieczonek, mistrzyni w swoim fachu – cóż ja mogłam jej podpowiedzieć?

Dodam, że jestem przeciwniczką nadmiaru papierów. Moja sekretarka miała obowiązek zapoznać się z dziennikiem ustaw, podkreślić to, co najważniejsze i dać mi to do przeczytania. Chyba że informacja zajmowała jedną stronę – wtedy oczywiście czytałam całość. Podobnie postępowałam w stosunku do nauczycieli – wymagałam od nich tylko tego, co było naprawdę konieczne. Egzekwowałam to, co w moim odczuciu było najważniejsze i spodziewałam się, że może być wymagane podczas kontroli kuratorskich. Te kontrole nie należały do najprzyjemniejszych. Wtedy, wiadomo, wszystko było sprawdzane. Nie podobało mi się to, że żądano tylko papierów. Nikt nie pofatygował się „na szkołę”, nie zobaczył, jak wygląda, funkcjonuje, jaka jest zadbana. Bulwersowało mnie również zbieranie dokumentów, by osiągnąć kolejny stopień awansu: nauczyciela mianowanego, dyplomowanego. Papierologia była moją największą zmurą.

Miała Pani do pracy niezwykle konkretne, matematyczne podejście – liczyły się fakty i efekty. A czy były w tej dyrektorskiej pracy jakieś przyjemności?

Największą przyjemnością było nauczanie matematyki, ale też współpraca z nauczycielami. Bardzo lubiłam moich współpracowników. Wiem jednak, że zarówno administracja, jak i nauczyciele odrobinę bali się mnie. Pani Danuta Trawczyńska, kierowniczka, doprowadziła na przykład do tego, że wszystkie panie w kuchni i obsługi czuły przede mną respekt. Ale to odbywało się za porozumieniem stron, wiedziałam, że tak będzie.

Uczniom też chyba przysporzyłam niejednego stresu. Ostatnio spotkałam swoją uczennicę, która wyznała mi, jak bardzo się bała. Przy okazji jednak podziękowała za to, że później nigdy nie miała problemów z matematyką. Wiem, byłam surowa, ale gdy widziałam, że kontakt ze mną, np. odpowiedź ustna, za dużo ucznia kosztuje, starałam się załagodzić sytuację.

Z pewnością jednym z największych wyzwań za pani kadencji było utworzenie gimnazjów. Proszę opowiedzieć o tym, jak pani poradziła sobie z tym zadaniem?

Kiedy pojawiła się wiadomość o gimnazjach, byłam przerażona. Szkoła podstawowa funkcjonowała dobrze, znaliśmy każde dziecko, jego środowisko – uczeń był z nami przez osiem lat! Mogliśmy dzięki temu szybko zareagować na pojawiający się problem.

Natomiast wiek gimnazjalny to taka, jak ja mówiłam, „tykająca bomba” – najtrudniejszy wiek. Zastanawiałam się, jak będzie funkcjonowała taka „wybuchowa” szkoła? Przez trzy lata uczniowie nie są przecież w stanie zintegrować się tak dobrze jak w ciągu ośmiu. Obawiałam się, że zanim dobrze poznamy dziecko, już go nie będzie.

Kolejnym problemem było: co zrobić z nauczycielami? W szkole podstawowej pracowało spore grono, w gimnazjum potrzebowałam ich znacznie mniej – przynajmniej na początku. Urząd podjął decyzję, że wszyscy z SP 14 przechodzą do SP 10, a ja będę zawierała z nauczycielami umowy na określoną ilość godzin. Nie był tu pełnych etatów, pracę w naszym gimnazjum trzeba było łączyć z zatrudnieniem w SP 10.

I jeszcze jedna kwestia: niepewna sytuacja dyrektorów gimnazjów. Umowy z nami zawierano na dwa lata! Później trzeba było stanąć do konkursu. W pewnym okresie oprócz konkursu wymyślono nawet testy dla dyrektorów! Miały sprawdzać wiedzę z bardzo szerokiego zakresu – budżet, organizacja szkoły. A co by było, gdyby jakiś dobry i sprawdzony dyrektor takiego testu nie zdał, zastanawiałam się. Jak widać, ten czas był pełen wyzwań. Na początku było bardzo ciężko. Na szczęście dobrze układała się nam współpraca z rodzicami.

Trudno było pani zostawić szkołę i odejść na emeryturę?

Szczerze mówiąc, nie było to trudne. Myślę, że przez te 30 lat jako nauczyciel i dyrektor zrobiłam wszystko, co do mnie należało, najlepiej jak umiałam. Bardzo dużo pracowałam. Przychodziłam do pracy wcześniej, zaraz po pani kierownik administracji, i ostatnia wychodziłam. Nie korzystałam ze zwolnień, nie wykorzystywałam urlopu zdrowotnego, nawet urlop wychowawczy skróciłam. Taka już byłam, liczyła się tylko praca. Odchodząc, miałam poczucie satysfakcji i spełnienia. Żegnałam się ze szkołą przekonana, że nowej dyrekcji – pani Kozak – zostawiam ją w bardzo dobrej kondycji dydaktycznej i organizacyjnej.

W moje pracy były trudne i piękne momenty. O trudnych szybko się zapomina, a pamięta się te dobre.

Piękne pożegnanie zorganizowała mi pani kierownik, nauczyciele i młodzież. Dostałam od każdej klasy wiersz dedykacją, a od całej rady pedagogicznej złoty wygrawerowany pierścionek.

Szkoła, którą tak skutecznie kierowała pani przez wiele lat, obchodzi właśnie 65. urodziny. Czego życzyłaby pani społeczności związanej z SP14 z tej okazji?

Moje życzenia będą konkretne i krótkie, jak na matematykę przystało: wysokich wyników w nauce, dużo sukcesów. I jeszcze tego, by każdy pracownik i każdy uczeń mile wspominał szkołę po latach.



Wszyscy w Czternastce byli równie ważni

wspomina Danuta Trawczyńska,
wieloletnia kierownik administracji

Pani Danuto, jest pani jedną z najdłużej pracujących w Czternastce osób, prawdziwą skarbnicą wiedzy o funkcjonowaniu tej szkoły.

Pracę tutaj rozpoczęłam w 1974 r. Na emeryturę odeszłam w 2017 roku, spędziłam więc w tej szkole 43 lata. Zaczynałam jeszcze za czasów dyrektora Zygmunta Turejko. Żegnała mnie dyrektor Kozak. Bardzo miło wspominam to miejsce. Zajmowałam się tutaj pracą typowo administracyjną, ale miałam też misję, której oddawałam się z wielkim zaangażowaniem – była to integracja pracowników. Bolało mnie, że panie sprzątające i pracujące w kuchni były na boku, chciałam to zmienić. Organizowałam wycieczki, imprezy, spotkania. Chciałam, żeby wszyscy pracownicy szkoły czuli się docenieni i zauważeni! Kiedy organizowałam wycieczki, uczestniczyli w nich zarówno nauczyciele, jak i obsługa. Panie sprzątające były na równi z nauczycielami, kierownikiem. Uważałam, że każdy człowiek ma swoje miejsce i jest bardzo ważny. Szkoła nie mogłaby funkcjonować bez obsługi! Za moich czasów wszyscy w Czternastce myśleli podobnie i szanowali pracę innych.

Jakie to były wycieczki? Dokąd jeździliście?

Zwiedziliśmy prawie pół Europy. Byliśmy w Gdańsku, Zakopanem, Polanicy, Dreźnie, Budapeszcie, Pradze i wielu innych miejscach. Wszystko ja organizowałam. Pieniądze na te wyjazdy zbierałam co miesiąc, podczas wypłat. Wtedy pobory były wypłacane w szkole, pani sekretarka każdemu dawała kopertę z należną mu kwotą. Ja stałam obok i potraçałam składki. Istniały dwie listy. Na pierwszą pracownicy wpłacali pieniądze przeznaczone na organizację różnego rodzaju imprez: imienin,

jubileuszy. Druga lista była przeznaczona na wycieczki. Dodam, że wszystkie wpłaty były dobrowolne, nikogo nie zmuszaliśmy. Wpłacali również emeryci. Wykładając pieniądze na wycieczkę, nikt nie wiedział jeszcze, gdzie pojedziemy. Zawsze mieliśmy pełny autokar.

Organizacja wycieczek, integracja to bardzo ważne i absorbujące sprawy. Przede wszystkim odpowiadała Pani jednak za działalność administracyjną. Jaki był zakres pani obowiązków?

Zajmowałam się całą administracją, w tym remontami. W Czternastce działała Szkoła Ćwiczeń, szkolili się studenci, przyszli nauczyciele. Główny nacisk kładziono na kształcenie nauczycieli klas 1 – 3. Trzeba było przygotować wszystko od strony organizacyjnej (krzesła, stoły, szatnie).

Dużym wyzwaniem były remonty. I nie chodzi tylko o te bieżące sprawy, wakacyjne odświeżania szkoły. Każda reforma to była mała rewolucja. Kiedy szkoła podstawowa przekształcała się w gimnazjum, zmieniał się nie tylko rozkład zajęć – trzeba też było szkołę dostosować do większych uczniów, na przykład podwyższyć wszystkie toalety! A ławki? Krzesła? O to też trzeba było zadbać! Później, gdy powróciła podstawówka, wszystko trzeba było znowu obniżyć.

Jednak największą moją bolączką było boisko. Byłam jednocześnie kierownikiem administracji i specjalistą od BHP. Przeżywałam prawdziwy dylemat: jako osoba odpowiedzialna za bezpieczeństwo i higienę pracy powinnam zabronić ćwiczeń na boisku, które się do niczego nie nadawało. A jako kierownik powinnam zadbać, by to boisko funkcjonowało i było w jak najlepszym stanie. Tylko skąd wziąć pieniądze na remonty? Mimo że szkoła miała opinię partyjnej, to pieniędzy na wszelkie remonty zawsze brakowało! Zresztą ta sytuacja nie uległa zmianie nawet po zmianach politycznych.

Gdzie odbywały się lekcje wuefu? Na przykład na korytarzach, na pierwszym piętrze. W salach lekcyjnych jedne dzieci uczyły się fizyki, chemii,

a za drzwiami, na korytarzach drugie grały w badmintona, minihokeja. To z pewnością przeszkadzało w prowadzeniu innych zajęć, ale nie było wyjścia.

Ile osób zajmowało się obsługą szkoły?

Mimo że z roku na rok przybywało dzieci, obsługa nie była rozbudowana. Pracowało pięć sprzątaczek, konserwator, woźny, trzy osoby w kuchni. Obiady były wydawane na 200 osób. Każdy miał przydzielone zadanie, panie sprzątaczkę określony metraż do wysprzątania. Jeden z woźnych wraz z żoną sprzątaczką mieszkał w szkole, w mieszkaniu służbowym – było ono tam, gdzie teraz jest świetlica. Takie rozwiązania były kiedyś dość częste w szkołach. Może uważano, że są one dzięki temu bardziej dopilnowane? Kiedy jednak zaczęło przybywać uczniów, potrzebne były kolejne sale, mieszkanie trzeba było zlikwidować. Zadbaliśmy oczywiście o to, by jego mieszkańcy nie zostali bez dachu nad głową – trafili w lepsze, bardziej komfortowe miejsce.

Co było dla Pani największym wyzwaniem?

Inwentaryzacja – trzeba było spisać cały sprzęt: każde krzesło, stolik. Takie całościowe inwentaryzacje odbywały się co pięć lat. Były też coroczne. Koszmar, ale konieczny!

Co czuje pani dziś, powracając do miejsca, w którym spędziła pani tyle owocnych lat?

Na szkołę zawsze będę patrzyła z perspektywy kierownika administracji, tego się nie da ot tak zmienić. Dlatego od razu mam w głowie listę spraw, których spełnienie jest moim życzeniem dla szkoły. Przede wszystkim życzę Czternastce nowego boiska – to, które jest, od 1959 roku się nie zmieniło. Nowa baza pozwoliłaby dzieciom rozwijać sportową pasję i osiągać sukcesy, z których ta szkoła zawsze słynęła. I niech dalej tak będzie! Nauczycielom życzę zaś godnych warunków pracy, na miarę XXI wieku.

Dzieci nadal lubią sport

o swojej pracy w Czternastce opowiada Irena Podolak

Najpierw była Irena Podolak – biegaczka.

Irena Podolak: To, że bieganie będzie moim sportem, zrozumiałam w 1974 roku, w siódmej klasie szkoły podstawowej. Uczyłam się w Stawigudzie, w niewielkiej szkółce, która wyróżniała się wówczas pod względem sportowym, a już w szczególności pod względem biegowym. Uczniowie ze Stawigudy zajmowali wysokie miejsca w biegach sztafetowych, przełajowych. Któregoś razu na zawodach wypatrzył mnie trener „Gwardii” Olsztyn, zostałam zawodniczką tej drużyny... i tak zaczęła się moja profesjonalna przygoda ze sportem. Trwała aż do momentu, gdy zostałam mamą.

Wówczas wszystko zeszło na dalszy plan.

Ze startów zrezygnowałam, ale ze sportu – jak widać – nie potrafiłam i na szczęście nie musiałam.

W wyniku życiowych zmian trafiłaś do szkoły. Od razu była to Czternastka?

Nie, najpierw pracowałam w małej wiejskiej szkółce, w Szczęsnem. Bardzo dobrze tam się czułam. Uczyłam klasy od pierwszej do ósmej.

Czyli pracowałaś też z dziećmi w nauczaniu wczesnoszkolnym. Bardzo dobry pomysł, choć rzadko realizowany. Dzieci miały szczęście – trafiła się im wuefistka z prawdziwego zdarzenia!

To była moja pierwsza praca, nowe doświadczenia, wszystkiego dopiero się uczyłam. Wiesz jak to jest, podczas studiów zdobywamy wiedzę w najlepszych warunkach, obserwujemy wzorcowe lekcje, podczas

których wszystko wychodzi. A potem stykasz się z rzeczywistością – brakuje sali, nie ma boiska, a chcesz coś tym dzieciakom pokazać, czegoś nauczyć. Zagospodarowałam więc sobie pobliską łąkę i tam chodziłam z dziećmi. Biegałam z nimi poboczem – było to dość bezpieczne, samochody jeździły rzadko, jeden na parę godzin. Dziś zastanawiam się, dlaczego brałam na siebie taką odpowiedzialność...

Może chciałaś działać, pracować i zarażać swoją pasją – po prostu? W takiej sytuacji nie myśli się o zagrożeniach, tylko korzyściach, jakie odczuwają dzieci. W końcu jednak nastąpił moment, kiedy szkołę w Szczęsnem zamieniłaś na olsztyńską Czternastkę.

Trafiłam tu na zasadzie przeniesienia. To był dobry pomysł, również ze względu na chłopców – chciałam być bliżej pięcioletniego Piotra i Mieszka, który właśnie szedł do pierwszej klasy.

**Ze względów rodzinnych była to bardzo dobra decyzja, a zawodo-
dowo? Jak wspominasz ten początek w Czternastce? Warunki
pracy? Kadra?**

Warunki nic się nie zmieniły – jedna sala, to samo boisko... tylko dziury na nim bardziej latało! Kadra nauczycielska była bardzo udana. Wysoki poziom zajęć gwarantowali Andrzej Turkot i Sławek Orińczak – ten drugi wkrótce odszedł, a na jego miejsce przyszedł ja. A rok po mnie pracę w Czternastce rozpoczęła znakomita wuefistka Katarzyna Dębowska.

**Jak wyglądały w tamtych czasach Twoje lekcje? Czego miałaś
nauczyć i wymagać od uczniów?**

Lekcje wychowania fizycznego, wymagania edukacyjne były bardzo podobne do dzisiejszych, nie różniły się aż tak bardzo. Dziś nauczyciel ma może nieco więcej swobody metodycznej, nie musi zaczynać zajęć gimnastyką. Cele, jakie mieliśmy realizować, zawsze były bardzo ambitne, ale w praktyce szkolnej musieliśmy uwzględnić warunki, jakimi dyspono-

waliśmy. A ponieważ w Czternastce warunki te były – i nadal są – dość ograniczone, najlepszym rozwiązaniem wydawała się lekkoatletyka.

Staralam się jednak nie być tylko trenerką biegania, nie zadręczać nim – jako była zawodniczka wiedziałam, że to może być trudne, dla uczniów zbyt monotonne, powtarzalne.

Co jeszcze? Dzieci były kiedyś sprawniejsze. Miały własne podwórka, biegały, skakały, robiły ewolucje na trzepakach. Przychodziły na lekcje już ukształtowane, ich motoryka była bardziej rozwinięta. Z każdej klasy potrafiłam wyłować osoby do trenowania. Miałam grupę dziewcząt, chłopców, którzy trenowali w AZS-ie, mieli stypendia sportowe – już w podstawówce! Okazji do sprawdzenia się, zawodów też nie brakowało.

Teraz nie mamy się gdzie pokazać. W ostatnich latach wszystko przystopowała pandemia.

To chyba źle. Brakuje celu, motywacji.

Źle! Dzieci lubią startować, brać udział w zawodach, pokazywać się. Potrzebują tego i przeżywają, tak samo jak egzaminy!

Coś jeszcze się w tych wuefach zmieniło?

Kiedyś było dużo testów, sprawdzianów, tabele (a w nich zakresy, do których czasem udało się dopasować, a czasem nie). Ja oczywiście tworzyłam własne tabele, spisywałam rekordy trasy (w parku miałam takie bazowe okrążenie – 270 m). To był mój punkt odniesienia, wyznacznik oceny.

Dzisiaj co innego podlega ocenie: wkład, zaangażowanie ucznia.

Co Ty o tym myślisz?

Wydaje mi się, że jest to spłykanie tematu. Bo co to znaczy? Że można nic nie robić? Wystarczy się przebrać, trochę poruszać i już uczniowie

powinni mieć piątkę! Ja już od dawna nie stawiam trójek, najniższa ocena z wuefu to czwórka.

Ale teraz wracasz do testów. Musisz czy chcesz?

Do testów wracam, ale tylko niektórych. Każde dziecko chce wiedzieć, ile skoczyło, jak daleko rzuciło. Robię pomiar – po co? W przyszłym roku ten sam uczeń skoczy, rzuci kolejny raz. Dzięki moim zapiskom będzie wiedział, czy zrobił postęp. I jaki.

Opowiedz mi o zawodach, w których – co zostało udokumentowane w szkolnych kronikach – uczniowie Czternastki często i chętnie brali udział, odnosząc wiele sukcesów.

Było tego bardzo dużo: sztafetowe biegi przełajowe, biegi z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja, biegi niepodległościowe, czwórboje lekkoatletyczne, mistrzostwa Olsztyna, z których kwalifikowali się do mistrzostw województwa.

Gdzie i jak wy, wuefiści Czternastki, tych swoich mistrzów przygotowywaliście?

Na wuefie najważniejsza była indywidualizacja. Jeśli wiedzieliśmy, że jakaś osoba ma biegać, to na boisku krążyła, robiła ileś tam okrążeń, a pozostali grali w tym czasie w piłkę. Ktoś trenował pchnięcia kulą, ktoś inny rzucał oszczepem – oczywiście nie na szkolnym boisku, szłam z nim na okoliczną górkę i tam ćwiczyliśmy. A jak już trochę potrafili, przychodzili na stadion UWM-u.

Na ten stadion jeszcze się razem „wybierzemy” ... Powspominajmy uczniów, z którym udawało się te sukcesy osiągać.

Serdecznie wspominam wielu z nich: Adę Pacholczyk, Magdalenę Trzeciak, Rafała Hadera, Kacpra Adamskiego, Mateusza Chmielińskiego, Michała Kowalskiego. Byli kimś więcej niż tylko podopiecznymi, zawod-

nikami. Przede wszystkim byli mądrymi młodymi ludźmi, z którymi dobrze się rozmawiało. Pracowali nad sobą, wykonywali polecenia, rozwijali się, wielu z nich osiągało sukcesy na arenie ogólnopolskiej. Nie poszli w zawodowy sport, nad czym zresztą wcale nie ubolewam, bo wiem, jak kapryśny, ciężki jest los zawodnika. Pokończyli studia, są świetnymi specjalistami w swoich dziedzinach. A niektórzy, jak mój syn Mieszko, odnajdują się w pracy trenerskiej.

...kontynuując to, co zaczął Twój mąż, wybitny biegacz i trener Kazimierz Podolak, z którym Ty już od wielu lat współpracujesz.

Mój mąż to umysł, od którego ja się uczyłam bycia trenerem. Na początku naszej współpracy odpowiadałam za tzw. przygotowanie pierwsze, tzw. ogólnorozwojówkę: płoteczki, gimnastyka i inne ćwiczenia tego typu. Plany treningowe układał Kazimierz. Dziś tę sferę przejmuje Mieszko.

„Czym skorupka za młodu nasiąknie...” Mieszko i Piotr jako uczniowie Czternastki/ Gimnazjum nr 5 również zapisali się złotymi zgłoskami w sportowej historii szkoły.

Chłopcy trenowali trochę dlatego, że byli na to skazani... To było oczywiste. Kiedy my szliśmy na trening, oni szli z nami. Na obozy też jeździła cała czwórka. Początkowo ja jeździłam jako żona, potem ja już miałam swoich zawodników, mąż swoich... i tak już pozostało.

A czym różni się praca wuefisty w szkole od pracy trenera?

W pracy wuefisty szkolnego dużo jest monotonii. Nauczyciel tak naprawdę nie może się rozwinąć. Z perspektywy uczniów lekcje niekiedy są nudne. Wiem o tym, ale wtedy myślę sobie – to po prostu musi takie być!!! Szkolny wf to tworzenie bazy. Ma być dla wszystkich – zwłaszcza dla tych najsłabszych. Jeśli potrzebujesz urozmaicenia – proszę bardzo, są kluby, dodatkowe zajęcia.

Natomiast praca trenerska to kontakt z bardziej świadomymi osobami – takimi, które już zaczynają jakąś dyscyplinę lubić i chcą się w niej rozwijać. Są gotowe na pracę, potrzebują wsparcia, wskazania kierunku i fachowych uwag. Praca trenerska to moja pasja. Coś, co mnie wycisza i daje ogromną satysfakcję, zwłaszcza gdy widać postęp.

Wracając do pracy w szkole, zadam Ci prowokacyjne pytanie: czy dziś sport nadal jest ważny dla dzieci?

Dzieci sportem nie interesują się tak jak kiedyś. Bardzo często wypytuję uczniów, czy oglądali jakiś mecz, jakieś zawody. Okazuje się, że nie. Jakiś czas temu chłopcy ćwiczyli pchnięcie kulą. Tak się stawiali, tak ćwiczyli... Jeden pchnął sześć metrów, drugi siedem. I wtedy zapytałam, czy wiedzą, jaki jest rekord świata w tej dyscyplinie. Nie wiedzieli, a to 23 metry! W dodatku zawodnik nie pcha kulą trzykilogramową – tak jak uczniowie, tylko taką ważącą ponad siedem kilogramów.

A lekcje wychowania fizycznego nadal są tak lubiane?

Wydaje mi się, że tak. Wiesz, to zawsze były nieco inne zajęcia – swobodniejsze, w innym kontakcie z nauczycielem. Dzieci czują, że mogą się wygadać, podzielić swoimi historiami, które zostaną opowiedziane, wysłuchane i... zapomniane. Na lekcjach wf-u uczniowie bardziej się odślaniają.

Tylko żeby tak się stało – trzeba się spieszyć, pasję sportową rozwijać już od pierwszej klasy!

I jeszcze jedno: trzeba dostrzegać zmiany i mądrze na nie reagować. Dzisiejsze dzieci nie potrafią skupić się na czymś dłużej, rzucić kilka razy, powtórzyć. To rozkojarzenie widać na każdym kroku.

To się nazywa „świadomość rozproszona”.

Ostatnio pewna klasa ćwiczyła rzut piłeczką. Piłeczek miałam sporo – chodziło o to, żeby biegać po nie co chwilę, nie tracić czasu. Dzieci spróbowały kilka razy i już to było dla nich nudne. Zdecydowanie lepiej, bardziej skupiają się podczas zajęć w sali. To ciekawe, bo mój profesor z AWF-u mawiał, że każda lekcja poprowadzona na zewnątrz jest ileś tam razy lepsza, bardziej efektywna od zajęć w sali.

Bez względu jednak na to, gdzie ćwiczymy, zawsze powtarzam moim uczniom: „zrób ćwiczenie trzy razy, ale zrób dokładnie”. Wszystko się zmienia, ale ja wierzę, że dzieci są dobre, wymagają tylko odpowiedniego pokierowania.

Irenko, dużo rozmawialiśmy o pracy wuefisty, ale szkoła to przecież nie tylko uczniowie, lecz również koleżanki i koledzy z pracy, nauczycielki i nauczyciele, dyrekcja, wspólny czas w pokoju nauczycielskim...

Nie ukrywam, że pod tym względem największym sentymentem darzę czasy gimnazjum. W pokoju nauczycielskim panowała wówczas wyjątkowa atmosfera, aż przyjemnie było tam wejść i odpocząć między lekcjami. Duszą towarzystwa była pani Potrapeluk – mistrzyni dowcipu, anegdoty, bardzo pogodna osoba. Podczas długich przerw obchodziliśmy imieniny, urodziny, były kanapki, ciasto. Często razem wyjeżdżaliśmy: do kina, do warszawskich teatrów (i nie tylko warszawskich), za granicę: na Węgry, do Berlina. Przyjaźnie nawiązane wówczas trwają do dziś. Wszelkie zmiany organizacyjne udawało się nam przetrwać właśnie dzięki temu gronu oraz dyrekcji, do której mieliśmy szczęście od początku. Pani Żukowska, matematyczka, bardzo dbała o porządek, dyscyplinę. Pani Kozak natomiast dawała nam dużo przestrzeni, swobody – ufała naszym umiejętnościom i po prostu pozwalała działać.

To było wyjątkowe grono i wyjątkowy czas.

Irena Podolak: nauczycielka wychowania fizycznego, utalentowana i utytułowana biegaczka, która ze względów rodzinnych arenę sportową zamieniła na boisko szkolne. Z Czternastką/Gimnazjum nr 5 związana od 1997 r.



Sentymentalna podróż w przeszłość

wspomnienia pani dyrektor Jarosławy Kozak

Pracę w Czternastce rozpoczęłam, pełniąc jednocześnie funkcję wicedyrektora i ucząc języka polskiego. Moją przełożoną była wtedy pani Elżbieta Żukowska. Kiedy przeszła na emeryturę, przystąpiłam do konkursu i zostałam dyrektorem, ale już nie podstawówki, tylko Gimnazjum nr 5.

Na początku byłam przerażona. Miałam już wprawdzie wicedyrektorskie doświadczenie, wiedzę na temat zarządzania szkołą, ale i tak nie byłam pewna, czy dam sobie radę. Było to dla mnie duże wyzwanie. Miałam świadomość, że dyrektor bierze odpowiedzialność za wszystko, że musi podejmować wiele ryzykownych decyzji i jest w tym sam. Stopniowo jednak oswajałam się z tą sytuacją i krok po kroku realizowałam plan rozwoju szkoły. W pierwszym roku mojego dyrektorowania przyszła do mnie p. K. Mocarska, żeby wynająć pomieszczenie na szkołę prywatną. Choć pomysł ten spotkał się z niezadowoleniem wielu osób, zdecydowałam się na rozpoczęcie współpracy. Był to strzał w dziesiątkę! Pozyskane w ten sposób fundusze pozwoliły wzbogacić bazę dydaktyczną, wymienić sprzęty i pomoce na nowsze. A proszę mi wierzyć, były to niemałe pieniądze! Korzystaliśmy z każdej możliwości, aby rozwijać szkołę, np. przystępując do różnych projektów. Jestem więc przekonana, że nowa pani dyrektor dostała szkołę dobrze wyposażoną.

Trudnym momentem, który na długo zaważył na naszej pracy, było powstanie gimnazjum. To nastąpiło wprawdzie jeszcze za czasów pani Żukowskiej, ale obawa o losy tej nowej szkoły, jej stabilność towarzyszyła nam bardzo długo. Jednak mimo poczucia braku pewności Gimnazjum nr 5 rozwijało się bardzo prężnie. Myślę, że ogromny wpływ miała na to dobra kadra pedagogiczna. Mieliliśmy spore osiągnięcia dydaktyczne.

Nasi uczniowie uzyskiwali dobre wyniki z egzaminów, brali udział w licznych konkursach i zostawali ich laureatami. Staraliśmy się uczestniczyć w różnych projektach edukacyjnych. Wtedy też rozpoczęła się wspaniała i trwająca do dziś historia Przeglądu Małych Form Scenicznych, którą to imprezę zainicjowała Alina Bogdańska.

Szkoła to nie tylko budynki, ale przede wszystkim ludzie. Bardzo miło wspominam nauczycieli, z którymi zawsze starałam się mieć dobre relacje. Wspierałam ich w rozwiązywaniu problemów, a było ich bardzo dużo. Wyznawałam zasadę, że pochwała więcej zdziała niż nagana. Mądrych ludzi pochwała mobilizuje. Miałam szczęście pracować z bardzo dobrymi ludźmi i starałam się ich doceniać. Mówię tu nie tylko o nauczycielach, ale również o całej administracji i obsłudze. W moje pamięci szczególnie zapisały się pani Teresa Stempniak – niezastąpiona na stanowisku sekretarki, pani Danuta Trawczyńska, kierownik administracyjny, jak również pani Lidia Daniluk, która została jej następczynią, pani Zosia Łowicka, która pracowała w kuchni i nieżyjący już konserwator pan Bogdan Rosa.

Jak już wspomniałam, nasze gimnazjum funkcjonowało dobrze i miało dobrą opinię. I kiedy już wszystko działało jak w dobrze naoliwionym mechanizmie, zapadła decyzja o likwidacji tego typu szkół. To był wyjątkowo trudny moment dla całego grona. Gimnazjum było wygaszane, ważyły się nasze losy, szkole groziła likwidacja. Różne inne placówki ubiegały się o ten budynek, między innymi ze względu na dogodną lokalizację – blisko dworca, niedaleko centrum. Pozostawienie tu szkoły podstawowej nie było też w smak placówkom, które pozostawały w bliskim sąsiedztwie, dla których stanowiliśmy konkurencję. Nie dałam jednak za wygraną, postanowiłam walczyć o nową Czternastkę. Ja tę szkołę wychodziłam, zabiegałam o nią. Znalazłam poparcie u dyrektora Wydziału Edukacji pana Mariusza Badury i pani Danuty Ciborowskiej. Dzięki wsparciu między innymi tych osób powstała nowa Czternastka. Pierwszy nabór nie był imponujący. Rozumiałam to – nowa

szkoła to wielka niewiadoma, mnóstwo obaw, niepewności. Jednak dzięki dobrej opinii, jaką Czternastka miała wcześniej, była z nią kojarzona, szkoła powoli się rozwijała. I trwa do dziś.

Na zakończenie chciałabym wszystkim pracownikom złożyć najserdeczniejsze życzenia wielu sukcesów i zadowolenia z pracy. Niech szkoła dalej się rozwija, rozkwita i utrwala tę dobrą opinię, którą budowały pokolenia pracowników Czternastki i Gimnazjum nr 5.



O początkach Przeglądu Małych Form Teatralnych

Ważnym wydarzeniem, które odbywa się corocznie w naszej szkole, jest Przegląd Małych Form Scenicznych. Inicjatorką tego przedsięwzięcia była pani Alina Bogdańska. W 2000 r. pracowała w świetlicy szkolnej i opiekowała się grupą. Jej podopieczni odnosili sukcesy, występując w różnych konkursach. Brakowało jednak w Olsztynie turnieju, który odbywałby się cyklicznie. Pani Alina postanowiła wypełnić tę lukę. W 2001 r. zorganizowała pierwszy Przegląd Małych Form Scenicznych. Impreza błyskawicznie zyskała renomę i w 2002 r. została wpisana do kalendarza imprez z okazji 650-lecia Olsztyna. Od tej pory konkurs jest organizowany pod patronatem Prezydenta Miasta Olsztyn. Współorganizatorami imprezy byli między innymi: Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli w Olsztynie, Wydział Edukacji i Sportu Urzędu Miasta Olsztyn, Warmińsko-Mazurska Biblioteka Pedagogiczna, Stowarzyszenie Bajka, a od niedawna Zespół Szkół Budowlanych.

Przegląd Małych Form Scenicznych składa się z dwóch etapów:

Etap I odbywa się w naszej szkole. Tutaj zgłoszone do Przeglądu zespoły prezentują swoje przedstawienia. Ten etap podzielony jest na kategorie wiekowe: przedszkola, klasy I – III, klasy IV – VIII, liceum. Komisja ocenia innowacyjność inscenizacji, wrażenia i ciekawe rozwiązania scenograficzne.

Etap II odbywa się w Olsztyńskim Teatrze Lalek. Podczas uroczystej Gali Przeglądu laureaci konkursu otrzymują statuetki w swoich kategoriach wiekowych, a zwycięzcy prezentują nagrodzone przedstawienia.

Dla młodych aktorów występ na deskach prawdziwego teatru to nie-samowita przygoda. Tylko nieliczni dostępują tego szczytu – mogą w przestrzeni stworzonej dla sztuki zaprezentować swoje talenty.

Publiczność ma zaś okazję obejrzeć adaptacje znanych utworów literackich lub spektakle stworzone na podstawie autorskich scenariuszy. Ważną częścią spektaklu są dekoracje – uczniowie przygotowują je pod okiem opiekunów kół teatralnych, swoich nauczycieli.

Przegląd ma wiernych sponsorów, którzy towarzyszą imprezie od początku. Są to firma „Grawer”, dbająca statuetki i dyplomy i Olsztyńska Spółdzielnia Mieszkaniowa, która funduje najśrodszą nagrodę – cukierki.

Alina Bogdańska, pedagog szkolny, pomysłodawczyni i główna organizatorka Przeglądu:

Pomysł na organizację Przeglądu podrzuciła mi oczywiście młodzież, która potrzebowała przestrzeni do prezentacji swoich talentów i spektakli. A ja za tym pomysłem poszłam, po prostu! Miałam jeden cel: dać młodym ludziom przestrzeń, gdzie będą mogli pokazać, co potrafią.

Początki przeglądu były bardzo trudno. Nie było pieniędzy, brakowało zaufanych ludzi do organizacji konkursu, ale się udało.

Pierwszy przegląd odbył się w Teatrze Lalek dzięki świętej pamięci dyrektorowi Krzysztofowi Rościszewskiemu. Jego wnuczka chodziła do naszej szkoły. Kiedy pan Krzysztof dowiedział się o idei konkursu, postanowił pomóc nam w jego organizacji. W poniedziałki scena w teatrze była wolna, więc ją nam po prostu w ten dzień udostępnił.

Prezentacje trwały od 09:00 do 19:00, łącznie z rozdaniem nagród. Prawdziwy teatralny maraton! Ale opłacało się, recenzje były bardzo dobre. W kolejnym roku konkurs rozłożono na dwa dni, a gdy dołączyły szkoły ponadpodstawowe, nawet na trzy. Eliminacje odbywały się w naszej szkole (wtedy było to gimnazjum), a finał w Teatrze Lalek.

Do dnia dzisiejszego teatr udostępnia nam scenę za darmo, oferując także nagrody. Od samego początku jest z nami Warmińsko-Mazurska Biblioteka Pedagogiczna. Jej pracownicy zasiadają w jury, a także wspierają nas nagrodami. Dołączyło do nas również Stowarzyszenie Bajka.

Do tej pory wypadł nam tylko jeden konkurs z powodu pandemii. A jeden był przeprowadzony zdalnie w Teatrze Lalek. Na telebimie odtwarzano spektakle nagrane przez dzieci w domu, a jury zasiadające na widowni Olsztyńskiego Teatru Lalek oceniało prezentowane przedstawienia.

Każda edycja Przeglądu jest na swój sposób wyjątkowa, każdą wspominam ze wzruszeniem, oczywiście gdy tylko opadnie ze mnie zmęczenie związane z organizacją tego wydarzenia. Najmilej oczywiście wspominam pierwszą edycję. Kosztowała mnie wiele pracy, wysiłku, ale też takiego budowania zaufania. Zaufania, które trwa i mam nadzieję, trwać będzie.

Są szkoły, które od lat zjawiają się na przeglądzie. Mam do opiekunów numery zapisane w telefonie, kontaktujemy się, gdy tylko zbliża się kolejny konkurs.

Obecnie będziemy mieć 23. edycję. Byłaby 24., ale jedna wypadła, przeszkodził nam COVID.

Każdy przegląd jest inny pod względem artystycznym, przynosi nowe pomysły, rozwiązania. Jednego roku na naszej szkolnej scenie dzieci niesłyszące stworzyły orkiestrę. Pani nadawała dzieciom rytm, a one czując drgania podłogi, tworzyły melodię. To było bardzo poruszające.

Jedno jest pewne – poziom spektakli nieustannie rośnie. Zacytuję wicedyrektor Teatru Lalek p. Annę Ratkowską „Niektóre przedstawienia nadają się na deski teatralne”.

Co się jeszcze zmienia? Dekoracja! Żartobliwie rzecz ujmując, jest coraz mniej bibuły, a coraz więcej aktorstwa i to ono decyduje o zwycięstwie.

A poza tym, między zespołami jest coraz mniej rywalizacji, więcej zaś współpracy. Zdarza się, że uczestnicy użyczają sobie elementy dekoracji, zamieniają się kolejnością występowania.

Czy mam jakieś marzenia związane z Przeglądem? Oczywiście! Chciałabym, żeby trwał w tej szkole... dłużej niż ja!



Z PERSPEKTYWY UCZNIÓW

Warto dzielić się pasją

rozmowa z dr. Piotrem Siwikiem

Panie doktorze, ile to już minęło lat od ukończenia przez pana szkoły podstawowej?

Piotr Siwik: W Czternastce uczyłem się w latach 1972 – 1980, więc to już 44 lata minęły.

Jak to wówczas była szkoła?

Taka jak wszystkie. O tym, że do niej chodziłem, nie decydowały rankingi, tylko fakt, że była blisko domu. Mieszkałem na Kromera, jakieś 50 metrów od Czternastki. Idealnie – zwłaszcza dla dzieciaka, ucznia, który nie lubi wstawać (a trzeba było zdążyć na 8.00) albo zapominał kanapek. Wyskoczy po nie na długiej przerwie i nie spóźni się na kolejną lekcję!

Do tej samej klasy chodził ze mną kolega z tego samego domu. Spędziliśmy zresztą ze sobą nie tylko całą podstawówkę, ale również liceum – w jednej klasie. I nawet studia wybraliśmy identyczne – medycynę, wtedy też przez pięć lat mieszkaliśmy razem. Można więc przypuszczać, że te same osoby i bodźce nas kształtowały.

Coś wisiało w powietrzu w tej Czternastce i w jej okolicach.

Myślę, że wpływ na to, czym się interesowaliśmy, mieli nauczyciele i to, jak inspirujący potrafili być. Dowodzi tego moja historia. W czasach podstawówki skupiałem się przede wszystkim na matematyce. Nie przejawiałem zbytniego zainteresowania naukami przyrodniczymi,

a humanistycznym to już w ogóle. Co ciekawe, największą przyjemność czerpałem nie z zajęć, z których miałem same piątki, lecz z lekcji biologii, które prowadziła pani Opieczonek.

Słynna pani Opieczonek.

To była bardzo ciekawa nauczycielka. Oczarowała mnie. Czym? Uczniowie ulegają urokowi nauczyciela z różnych powodów: ze względu na inteligencję, podejście do ucznia albo sposób, w jaki przedstawia temat. Pani Opieczonek miała to wszystko. Posiadała też wyjątkową umiejętność budowania dobrego kontaktu z uczniami, a przy tym była bardzo wymagająca. I tak jak generalnie za samą biologią specjalnie nie przepadałem, polubiłem ten przedmiot dzięki nauczycielce.

Z powodu niechęci do biologii miałem nawet wyrzuty sumienia.

Dlaczego?

Bardzo słabo prowadziłem zeszyt. Niewiele w nim było, a jeśli już, to fatalnej jakości. Wtedy do biologii używało się zeszytu czystego, rysowało się w nim, pisało. Tymczasem ja jedno i drugie robiłem brzydko, a bez linii trzymającej jakoś w ryzach moje litery było jeszcze gorzej.

Zresztą miałem nie jeden zeszyt, tylko kilka. Nowy pojawiał się za każdym razem, gdy pani Opieczonek ogłaszała, że będzie sprawdzała notatki. Kolejne zeszyty były coraz cieńsze, bo się wycwanilem – po co marnować pieniądze na grubsze, skoro niebawem będę potrzebował kolejnego?

Na pytanie, dlaczego zeszyt jest nowy, odpowiadałem: „ponieważ...” Różne wymyślałem powody. I byłem święcie przekonany, że pani Opieczonek mi wierzy. Uczniowie tak mają, prawda? Myślą, że nauczyciel nie wie, że jest oszukiwany, a tymczasem on doskonale to czuje, tylko nie zawsze da po sobie poznać.

Z zeszytami do biologii jakoś mi się jeszcze udawało, natomiast problem zaczynał się na sprawdzianach czy klasówkach. Po pierwsze, nie za bardzo miałem się z czego uczyć, oprócz podręczników, które zniechęcały wielkością. Trzeba się było jakoś ratować. W sali od biologii mieliśmy ławki o dwóch oddzielnych blatach, pomiędzy którymi była pusta przestrzeń, zasłonięta od strony nauczyciela. Idealne miejsce na nielegalną pomoc naukową! Byłem na tyle naiwny, że myślałem, że skoro nie przygotowałem się zbyt dobrze, a do estetyki zeszytów nie jestem zbyt przywiązany, wystarczy, że wyrwę z nich to, co mam, przepiszę i będzie po sprawie. A muszę dodać, że w kwestii ściągania nie miałem jeszcze doświadczeń, to była dopiero klasa piąta albo szósta. Okazało się, że taki sam wgląd w te kartki jak ja, ma pani Opieczonek. Nie odebrała mi jednak ściągę od razu. Podczas sprawdzianów urządzała dziwne wycieczki, np. do łazienki, niby po wodę do kwiatków. W tym czasie wszyscy zżynali na całego. Ona wracała i od razu wiedziała, kto spisywał. Zawsze dawaliśmy się na te jej wyjścia nabrać.

Nadzieja w uczniach umiera ostatnia!

Jak wspomniałem, w dziedzinie ściągania byłem totalnie niedoświadczony, więc niestety dałem się złapać. Pani Opieczonek zabrała moje karteczki i postawiła dwóję. Było mi strasznie wstyd – nie dlatego, że dałem się złapać, ale przede wszystkim dlatego, że podjąłem próbę oszustwa. Od tego momentu zacząłem się biologii uczyć. Musiałem się trochę przyłożyć, żeby nadrobić zaległości. Myślę jednak, że ta między innymi historia popchnęła mnie lekko, ale skutecznie w kierunku, którym teraz podążam.

Proszę, jakie korzyści płyną ze ściągania. Zwłaszcza nieudanego!

Drugim przedmiotem, którego również nie polubiłem od razu, była chemia. Dużo w niej matematyki, więc z pewnością było mi łatwiej, ale orłem z tego przedmiotu nie byłem. Uczyla nas pani Chmura. Pewnego dnia mnie i kilku kolegom, po których spodziewała się „czegoś więcej”,

wręczyła karteczki z notatkami. Powiedziała, że mamy się przygotować, niebawem odbędzie się olimpiada chemiczna, w której weźmiemy udział. Tu są zagadnienia, tematy, „poczytajcie sobie”. Byłem trochę zaskoczony – wydawało mi się, że na przygotowanie do olimpiady potrzeba dużo czasu, a na pewno więcej niż kilka dni. Uczyliśmy się razem – dwie lub trzy osoby, wśród nich wspomniany już kolega z sąsiedztwa, Wojtek. I okazało się, że całkiem dobrze wypadliśmy.

Między do chemii nadal jednak nie czułem. Ciągłe najważniejsza była matematyka. W siódmej albo ósmej klasie przystąpiłem do koła matematycznego prowadzonego w naszej szkole przez studentów z olsztyńskiej WSP. Podczas spotkań przygotowywaliśmy się między innymi do olimpiady. W rozgrywkach matematycznych poszło mi znacznie lepiej niż chemicznych, nasz czteroosobowy zespół awansował do pierwszej trójki w województwie. Nagrodą za ten sukces, oprócz książek, był wyjazd na wycieczkę do Kartuz, do skansenu.

Pojechaliśmy tam takim starym autobusem, Sanem, który się zepsuł po kilkudziesięciu kilometrach. Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle do celu dojedziemy. Na szczęście była tam ekipa studentów, która umiała nam drogę, śpiewając różne piosenki. Niektóre utwory zapamiętałem, a po kilku latach usłyszałem w wykonaniu Stefana Brzozowskiego i Czerwonego Tulipana. Bo jak się okazał, tym rozklekotanym Sanem podróżował z nami do Kartuz właśnie późniejszy Czerwony Tulipan.

Koło matematyczne prowadzili studenci, a lekcje tego przedmiotu...

To było terytorium pani Rożek. Poza tym nadzorowała szkolny sklepik. Pewnego razu do prowadzenia tego interesu wytypowała mnie i kilku kolegów. To się wydaje takie oczywiste – ten, kto umie liczyć, z pewnością poradzi sobie z handlem. Jakież więc było jej rozczarowanie, gdy pod koniec roku okazało się, że mamy manko! Ale po pierwsze: ja miałem zerową świadomość na temat tego, co to jest prowizja, brutto, netto, tara. A po drugie: koledzy, z którymi prowadziłem sklepik, chyba

mieli więcej motywacji towarzyskich niż ekonomicznych. Nie mogli oprzeć się okazji, by koleżanki częstować pączkami. No i chyba trochę przesadzili. Ja oczywiście też częstowałem, ale starałem się robić to bardziej umiarkowanie. A może po prostu nie miałem tylu koleżanek?

Pani Rożek była nami mocno zawiedziona. Padło wtedy wiele bardzo przykrych słów. Czuliśmy się fatalnie. Zrozumieliśmy, że teoria matematyczna to jedno, a praktyka życiowa to drugie.

To była taka pierwsza lekcja ostrzegająca, bym w przyszłości żadnych sklepików nie prowadził. Pierwsza porażka.

Na szczęście w dorosłym życiu z finansami radzę sobie dużo lepiej.

A inne zajęcia, przedmioty szkolne? Jak pan je wspomina?

Jako osoba niepełnosprawna byłem zwolniony z wuefu. To pewien paradoks, bo kochałem aktywność sportową, po lekcjach ciągle gdzieś biegałem. Zjeżdżałem wraz z innymi z górki, całymi dniami grałem w piłkę. Sport był wtedy moją pasją.

A podczas lekcji wuefu siedziałem tylko i obserwowałem, jak inni ćwiczą. Uczyli się na przykład stania na rękach. Różnie im to wychodziło – raz lepiej, raz gorzej. A ja potrafiłem nie tylko stać na rękach, ale również na nich chodzić, co z przyjemnością innym prezentowałem.

Ta historia powróciła do mnie, gdy już jako lekarz, zawsze z bólem serca, dawałem zwolnienia z wuefu. Przypominałem sobie swój dyskomfort i poczucie ograniczenia. Zwolnienia dawałem wcale nie dlatego, że ktoś według mnie nie mógł w tych lekcjach uczestniczyć. Musiałby trafić na elastycznego i mądrego nauczyciela, który tak dobrałby zajęcia, żeby ten uczeń, mimo pewnych ograniczeń, mógł ćwiczenie wykonać – a tej woli współpracy i kreatywności nie byłem pewien.

Za moich szkolnych czasów temat aktywności fizycznej niepełnosprawnych w ogóle nie istniał. Dzisiaj tworzymy szkoły integracyjne, a wtedy osoby z niepełnosprawnością były mocno wyłączone. Różne były tego przyczyny: niemożność zapewnienia bezpieczeństwa, brak pomysłu, jak oceniać ich wysiłek.

Dziś funkcjonujemy w świecie, w którym organizowane są paraolimpiady. Sport uprawiany przez osoby niepełnosprawne to oczywistość.

Moje doświadczenie dobitnie pokazuje deficyty szkoły z tamtego okresu.

Czasami jednak, przyznam, cieszyłem się z tego, że nie muszę ćwiczyć. Jak widziałem kolegów, którzy grają na tym betonowym boisku w piłkę ręczną... przechodziły mnie dreszcze. Te wyskoki, upadki – to był po prostu koszmar. Ale grali świetnie!

Drużynę prowadził pan Michał Głowacki?

Tak, bardzo ciekawy człowiek i świetny trener. Ewidentnie podniósł poziom sportu w Czternastce. W mojej klasie był taki Piotrek Bedra – jeden z lepszych zawodników. Gdy odbywały się jakieś turnieje, rozgrywki międzyszkolne, zawsze mu kibicowaliśmy.

Pamięta pan jeszcze innych nauczycieli i ich lekcje?

Pani Ciborowska uczyła nas języka polskiego. Chodził z nami do klasy syn drugiej polonistki. Miał na imię Leszek. Prawie zawsze siedział w pierwszej ławce, zagadywał, był mocno absorbujący – i w pozytywnym, i w negatywnym tego słowa znaczeniu. Pamiętam pewną bardzo dla mnie zabawną historię z języka polskiego. Pani Ciborowska oddawała prace klasowe, oczywiście komentując nasze błędy. Podchodzi do Leszka i pyta: „Leszku, dlaczego napisałeś „kura” przez **ó** kreskowane?”. A on tak ze szczerem przekonaniem odpowiada: „bo wymienia na **kogut**!”. Nie każdy by na to wpadł.

W pamięci mam też pewną historię związaną z plastyką. Nie przepadałem za tym przedmiotem. Zazwyczaj, wykonując prace, nie miałam żadnej koncepcji, w ogóle nie wykazywałem żadnego talentu plastycznego. Nie umiałem niczego narysować. Mój koń nie przypominał konia, raczej wielbłąda, a może nawet dinozaura.

O antytalencie plastycznym wspominał pan przy okazji biologii.

Podczas klasowej wycieczki do Gdyni odwiedziliśmy również Oceanarium. Zobaczyłem tam różne niezwykle stworzenia morskie. Zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Szczególnie zafascynowały mnie żółwie. Wydawały się takie potężne, majestatyczne, podziwiałem ich sylwetki w wodzie.

Podczas jednej z kolejnych lekcji plastyki dostaliśmy zadanie: wyrzeźbić coś w mydle. Ja oczywiście zrobiłem żółwia. I dostałem piątkę! To była moja pierwsza piątka z plastyki! Do tej pory taka ocena wydawała mi się nieosiągalna. W przeciwieństwie do Izydora Borysa, który podczas plastyki umierał z nudów, wszystko robił pięć razy szybciej, ja zwykle cierpiałem z powodu niedoboru pomysłów i talentu. A tu proszę, piątka.

Nie skończyło się na pojedynczym sukcesie. Kolejnym zadaniem z plastyki było przygotowanie plakatu. Co namalowałem? Oczywiście żółwia! I dostałem drugą piątkę.

Byłem z tego powodu naprawdę wstrząśnięty. Wydaje mi się, że wówczas po raz pierwszy pomyślałem, że może nawet posiadam jakiś talent, tylko żeby go odkryć, pobudzić, potrzebowałem inspiracji.

Wprawdzie karierę artystyczną zacząłem i skończyłem na żółwiach, ale od tego czasu przestałem bać się rysowania. Umiejętność ta bardzo mi się przydaje w pracy. Rysuję różne modele. Nie jestem w tym szczególnie biegły, nie wszystko jest super proporcjonalne, ale spełnia swoją zadanie. Schemat dla pacjenta, jak ma się ułożyć, rozrysuję bez problemu.

Wspominał pan o koledze Wojtku, o Izydorze Borysie. Jak w tym czasie układały się pana relacje z rówieśnikami?

Wydaje mi się, że w tej materii radziłem sobie całkiem dobrze. Swoją klasę odbierałem raczej pozytywnie. Może i były jakieś konflikty, podziały, ale ja w tym nie uczestniczyłem. Mieliśmy na przykład kolegę spadkowicza. Silny, dobrze zbudowany, trochę brutalny. Ale nawet jego w miarę lubiłem. Co prawda głupio się popisывał, np. gryzł szkło, chwalił się, że jest w stanie zjeść żarówkę, ale poza tym dawało się z nim wytrzymać.

Ostrych, poważnych konfliktów nie pamiętam. No może jeden, z chłopakiem ze starszej klasy. Był wyższy ode mnie... zresztą ja zazwyczaj byłem najniższy w klasie.

Ja podobnie.

Wie pani, być niską dziewczyną to co innego. W pewnym momencie panowała nawet moda na chodzenie wysokich chłopców z niskimi dziewczętami.

Albo tego nie wiedziałam, albo tę modę przegapiłam! Powróćmy jednak do tego konfliktu.

Dochodziło pomiędzy nami do utarczek na korytarzu, już nie pamiętam z jakiego powodu. Nosilem wtedy dość ciężką protezę, która służyła mi czasem do samoobrony, gdy czułem się zagrożony. Nigdy sam nie atakowałem, nie byłem z tych. No ale ten chłopak coś do mnie miał. Któregoś razu rzucił się na mnie, więc ja go tą protezą kopnąłem. Uderzenie odczuł bardzo boleśnie. Później już mnie oczywiście nie zaczepiał.

Nigdy potem nigdy nikogo nie uderzyłem, z nikim się nie biłem. Mimo iż z wieloma chłopakami wygrywałem na rękę, byłem mocny,

nie używałem siły fizycznej, by kogoś skrzywdzić, atakować. Ten jeden raz to i tak było dla mnie za dużo.

Po latach spotkałem tego człowieka. Natknęliśmy się na siebie przypadkiem. Szedł z moją koleżanką z liceum, która, jak się okazało, była jego żoną. Wykorzystałem tę okoliczność, by przeprosić go za tamto wydarzenie. Przeprosiłem, bo ciążyła mi ta historia. Mogłem mu przecież protezę zrobić poważną krzywdę.

Przeprosiny przyniosły mi ulgę. Cieszę się, że miałem okazję się z tym zmierzyć.

Żadnych większych konfliktów czy podziałów w klasie nie pamiętam.

Co dobrego robiliście całą klasą?

Podstawówka to był czas fajnych wyjazdów integracyjno-wycieczkowych. Byliśmy między innymi we wspomnianej już Gdyni, zwiedzaliśmy okręt ORP Błyskawica. Zabrała nas tam nasza wychowawczyni, pani Ciborowska.

Później została dyrektorką Czternastki. A jaką była wychowawczynią?

To były czasy, kiedy relacje między nauczyciele i uczniami wyglądały inaczej. Pani Ciborowska wydawała mi się trochę groźna, zdystansowana, ale naprawdę o nas dbała. Walczyła, gdy było trzeba.

Zupełnie inaczej zacząłem ją postrzegać później, gdy została posłanką. Okazała się bardzo serdeczną i życzliwą osobą.

A co działo się po szkole, po lekcjach?

Moją pasją był najpierw sport, granie w piłkę i wspinanie się po drzewach z kolegą z klasy, Waldkiem, tak spędzałem wolny czas. Nieco później wielką pasją stała się muzyka.

Czy to również dzięki nauczycielce bądź nauczycielowi?

Muzyki uczyła nas pani Lubiejewska. Nie miała jakiegoś wybitnego wpływu edukacyjnego na mnie, ale posiadała jeden poważny atut – jej mąż był bardzo znanym siatkarzem, legendą tego sportu w Olsztynie. I to wystarczyło. Miała taki prestiż, że już nie musiała nas niczego uczyć. Coś tam z nią śpiewaliśmy, graliśmy na cymbałkach chyba, ale wszystko to było trochę nijakie. A śpiewać lubiłem zawsze, choć długo z różnych powodów wzbraniałem się przed występami publicznymi. Dziś, podobnie jak z rysowaniem, nie mam już z tym problemu.

Ze śpiewaniem w szkole bywało krucho. A co z tańcem?

Chodziłem na szkolne dyskoteki. Jeśli tylko było to możliwe, starałem się być blisko magnetofonu. Ale to były takie dyskoteki, na których się raczej nie tańczyło. Mam wrażenie, że większość chłopaków stała pod ścianą

I przyglądała się dziewczynom.

Dziewczyny się kołysały, a chłopcy nie mieli takiej odwagi. Takie śmieszne historie.

Śmieszne i urocze. Młodzieńcze po prostu.

Z muzyką związane są moje pierwsze samodzielne próby nauki języka angielskiego. Coś tam sobie na własne potrzeby tłumaczyłem, przekładałem.

W szkole natomiast nasze pokolenie uczyło się języka rosyjskiego, o czym już nie wszyscy wiedzą.

Moje pokolenie też uczyło się rosyjskiego, choć już tylko kilka lat.

Rusycystka mobilizowała nas do tego, żebyśmy korespondowali z uczniami ze Związku Radzieckiego. Nie miałem do tego cierpliwości,

podobnie jak do prowadzenia zeszytu do biologii. Korespondencja urywała się po jednym liście, co chwilę miałem nowy adres. A pani nas z tych listów rozliczała. Nie potrafiłem utrzymać konwersacji, ponieważ słabo się posługiwałem językiem, więc komunikacja między mną a adresatem była płytka, nieciekawa i miała raczej charakter formalny. Z jedną dziewczyną udało mi się jednak utrzymać dłuższy kontakt. Miała na imię Natasza. W każdym liście pisaliśmy do siebie to samo: „Zdrastwuj Natasha! pagoda u nas izmieniżiwaja /to hałodna /to ciepło/ ja żywu w gorodzie Olsztyn/ u mienia brat, mama i papa... „i już nie pamiętam, co tam jeszcze było. Na koniec wypadało zawsze napisać „priszlij mnie swajo foto”. Ona odpowiadała bardzo podobnie, a na końcu dołączała prośbę „priszlij mnie żwaczku”, czyli gumę do żucia. Co było dalej? Do kolejnego listu włożyłem płaską gumę do żucia, ona przysłała mi swoje zdjęcie, takie z miśkiem, co wydało mi się infantylne – byłem już wtedy w siódmej klasie i poważnie myślałem o świecie! Ale nie zniechęciłem się i odwzajemniłem swoim zdjęciem. Niestety, Natasza już nigdy do mnie nie napisała. Nie rozumiem dlaczego (śmiejch)

Ja też tego nie rozumiem.

To było niemiłe z jej strony. Tym bardziej, że zdjęcie było bardzo dobre. Możliwe, że wysłałem jej ten swój portret, który – jako wzorcowy – przez kilka lat zdobił witrynę zakładu fotograficznego na Grunwaldzkiej. Mama ułożyła mi pięknie włosy, żebym dobrze wypadł.

Na koniec pospacerujmy chwilę wspólnie po szkole. Czy były tam miejsca, które lubił pan szczególnie lub wręcz odwrotnie – wzdrygał się na myśl o nich, unikał?

Znów panią, poszukiwaczkę szkolnych sensacji, rozczaruję – nie mam żadnych negatywnych wspomnień! Szkoła kojarzy mi się wyłącznie pozytywnie. No może z wyjątkiem targania za baczki...

Słucham???

To był taki rodzaj kary za niegrzeczne zachowanie.

A gdzie lubiłem chodzić najbardziej? Do biblioteki oczywiście! Pani, która tam pracowała...

Pamięta pan, jak się nazywała?

Niestety nie. Za to pamiętam, co dla mnie zrobiła – zaraziła mnie pasją do czytania książek.

Jakich konkretnie?

Od dzieciństwa chciałem być kowbojem. Rozwahałem też rolę Indianina, ale wiadomo, nim trzeba się urodzić, a kowbojem można zostać. I od tego typu lektur zacząłem. „Old Surehand” Karola Maya, „Winnetou”. Pasjonowałem się tematem dzikiego zachodu, pochłaniałem wszystkie książki dotyczące tego właśnie tematu.

Głównie Karol May?

Nie tylko, również „Czarne sombrero” Adama Bahdaja i inne tego typu lektury. A gdy nasyciłem się tematem, nastąpił czas takich małych książeczek wojennych...

Znam je. Tygrysy! Moi bracia też mieli bzika na ich punkcie.

Znów przeczytałem wszystkie, jakie były w szkole. Najbardziej interesowały mnie te, które dotyczyły lotnictwa. Zacząłem od tygrysów, potem już wchłonałem wszystko na temat polskiego lotnictwa, drugiej wojnie światowej, dywizjonu 303 itd.

Moje marzenie się zmieniło. Już nie chciałem być kowbojem, tylko lotnikiem. Niepełnosprawność nie stanowiła żadnej przeszkody. Wiedziałem już, że niepełnosprawni mogą latać. Mówił o tym radziecki film, który pokazano nam w szkole. Jego bohaterem był lotnik, który stracił obie nogi, ale potem dostał protezy i kontynuował swoją lotniczą służbę.

Jakiś sowiecki wytwór propagandowy?

Oczywiście. Szczerze mówiąc, wtedy nie za bardzo w to wierzyłem... Wydawało mi się to dużą przesadą, bujdą wręcz. A dzisiaj proszę, jest to już absolutnie realne.

Nie został pan kowbojem, szeryfem, lotnikiem. Wykonuje pan zawód dalece bardziej szlachetny – jest pan lekarzem specjalizującym się w rehabilitacji. Pomaga pacjentom w powrocie do sprawności, do spełniania ich marzeń, przekraczania granic. Co pana do tego doprowadziło?

Pod koniec podstawówki i na początku szkoły średniej kilka razy uczestniczyłem w turnusach rehabilitacyjnych w szpitalu dla dzieci w Ameryce. Spędzałem tam co najmniej miesiąc wakacji. Zetknąłem się tam z niesamowitymi rehabilitantami (fizjoterapeutami), którzy potrafili зараzić energią i pasją. Udowadniali, że nie ma żadnych barier. Osoby niepełnosprawne mogą pływać, wspinać się, jeździć na nartach. Myślę, że to właśnie pod wpływem tych doświadczeń, będąc na studiach medycznych zdecydowałem się na tę specjalność. Po latach pracowałem z jednym z tych fizjoterapeutów w Szpitalu w Ameryce pod Olsztynkiem, czyli historia zatoczyła koło.

Dużo jest w ten naszej rozmowie o zarażaniu. Ale takim pozytywnym – zarażaniu pasją, zapalaniu iskry.

Moja historia dowodzi tego najlepiej. Byłem chłopcem o nieszczególnie wysokich aspiracjach, nieświadomym swoich możliwości – nie chciałem być prezydentem czy kosmonautą. Nie sądziłem nawet, że w moim zasięgu są studia. Dzięki pasjonatom, których spotkałem na swej drodze – między innymi dzięki nauczycielom – zmieniło się moje życie. Warto dzielić się pasją i dać się pasją zarazić.

Tego pierwszego życzę wszystkim nauczycielom pracującym w szkole, a tego drugiego Waszym uczniom.

Piotr Siwik – absolwent Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Gdańsku, specjalizuje się w rehabilitacji medycznej, dyrektor Kliniki „Budzik” w Olsztynie.

Połączyły nas sport i taniec

wspomina Iwona Pavlović

Pani Iwono, jest pani popularną i szanowaną tancerką, choreografką, jurorką w konkursach tanecznych. Czy fascynacja tańcem, która potem przeistoczyła się w pani zawód, narodziła się w Czternastce?

Taniec na poważnie pojawił się w moim życiu w czasach licealnych, czyli na przełomie lat 80. i 90. W podstawówce, owszem, tańczyłam, w zespole ludowym, ale to jeszcze nie był TEN moment. W tym czasie rozwijałam się na wielu polach, zwłaszcza sportowym, i jeszcze nie do końca wiedziałam, kim będę.

W Czternastce spędziła pani lata 1969 – 1977. Jak wspomina pani ten czas?

Bardzo pozytywnie. I to nie dlatego, że przeszłam szkołę śpiewając, cudownie i na piątkach, bo czasami różnie z tymi ocenami bywało. Zawsze byłam osobą społeczną, lubiałam przebywać wśród ludzi. Z domu wyniosłam umiejętność cieszenia się życiem, a w naturze mam potrzebę ekspresji, ruchu. I taka właśnie – pełna energii i radości życia, w Czternastce mogłam realizować się w pełni i na różne sposoby. W młodszych klasach byłam zuchem, należałam do zespołu tańca ludowego. Niestety, nie pamiętam nazwisk nauczycieli i instruktorów, którzy się nami zajmowali. Pozostały mi związane z nimi, bardzo pozytywne, emocje; na wszystkie zajęcia chodziłam z przyjemnością. Wychowawczyni z najwcześniejszego etapu też nie pamiętam z nazwiska, ale to, jak uczyła i jaka dla nas była, zostanie we mnie na zawsze. Była to już starsza pani, krucha i siwiutka. Niezwykle ciepła, opiekuńcza i serdeczna. Jeśli tylko pogoda temu sprzyjała, wyprowadzała nas ze szkoły.

Nie było siedzenia w ławkach. Zabierała nas w teren: do lasu, do parku, na spacer. I tak się uczyliśmy.

Szkolne życie pamiętam najlepiej od piątej klasy. Byłam już wtedy uczennicą klasy sportowej i z zapałem trenowałam piłkę ręczną. Naszym trenerem i najważniejszym nauczycielem był pan Michał Głowacki. Wspierał człowieka, który stawiał nie tylko na sport, ale również kształtował nasze charaktery. Uczył odpowiedzialności, dyscypliny. Nawet w wakacje organizował dla nas różne wyjazdy i obozy sportowe. Stworzone przez niego drużyny, zarówno dziewczęca, jak i chłopięca, były naprawdę świetne. Odnosiliśmy nawet spore sukcesy sportowe w zawodach międzyszkolnych.

A inni nauczyciele? Dali się jakoś zapamiętać?

Kolejną moją szkolną aktywnością w tym czasie był chór, a ten prowadziła pani Lubiejewska. Nie pamiętam wykonywanego przez nas repertuaru, ale nauczycielkę ciągle mam przed oczami. A to z powodu jej wyjątkowej urody – podkochiwali się w niej chyba wszyscy chłopcy.

Z kolei panią Opieczonek, która uczyła nas biologii, zapamiętałam z dwóch powodów: po pierwsze była znakomitą nauczycielką, a po drugie, nosiła charakterystyczną fryzurę. Jej znakiem rozpoznawczym był imponujących rozmiarów kruczoczarny tapir, misternie ułożony i utrwalony lakierem.

Pani Opieczonek urzędowała w sali nr 40, a piętro niżej, tuż obok pokoju nauczycielskiego, znajdowało się królestwo pani Chmury, czyli pracownia fizyczno-chemiczna. Mimo wysiłków nauczycielki i moich własnych, nie zdołałam polubić chemii – do dziś zresztą nie znam żadnego symbolu chemicznego.

Z przyjemnością natomiast chodziłam na lekcje języka polskiego, którego uczyła mnie pani Ciborowska. Jej przedmiot zdecydowanie bardziej pasował do mojej wrażliwości. Pamiętam, że w tym czasie próbowałam pisać wiersze...

Koniecznienie muszę też wspomnieć o nauczycielu matematyki, bardzo... przystojnym. W nim z kolei podkochiwałam się ja, ale myślę, że towarzyszyło mi spore grono zapatrzonych w niego jak w obrazek uczennic.

Czy w związku z tym z matematyki miałyście same piątki?

Zawsze lubiłam matematykę i byłam całkiem dobra z tego przedmiotu. Ale czy same piątki w dzienniku... to pewnie już niekoniecznie. Chociaż zawsze się starałam, by w oczach nauczyciela wypaść jak najlepiej.

Jakie jeszcze zajęcia pani zapamiętała?

Bardzo przydatne były zajęcia ZPT. Program, który realizowaliśmy, różnił się w zależności od płci. Dziewczęta uczyły się gotować, nabywały też innych umiejętności niezbędnych w gospodarstwie domowym. Poznawałyśmy to, co potrzebne jest w codzienny życiu.

To na tych zajęciach nauczyłam się robić sałatkę jarzynową. Do dziś przygotowuję ją według przepisu, który poznałam w szkole – dokładnie tak, jak mnie tego nauczono na ZPT. Sałatka jest jednym z moich dań popisowych, obowiązkowym punktem świątecznego menu. Szykuję ją w dużych ilościach – zwyczajowo słoiczek jarzynowej wręczam każdemu z członków mojej rodziny, gdy po gościnie u mnie rozjeżdżają się do domów. A rodzinę mam naprawdę dużą.

Jak w pani czasach wyglądały relacje z nauczycielami?

Miałam bardzo dużo szacunku do nauczycieli. Stanowili oni swego rodzaju świętość, byli bardzo ważni w naszym życiu. Czasem trochę się ich baliśmy się, ale to był strach, który nie paraliżował, tylko mobilizował, taki strach pozytywny. Zależało nam na tym, by byli z nas zadowoleni. Wiadomo, że z nauką bywało różnie, ktoś miał piątkę, ktoś dwójkę. Mieliśmy jednak świadomość, że te oceny to efekt naszej pracy,

nie czyjaś złośliwość. Czuliśmy szacunek i respekt wobec każdego z nich, nie chcieliśmy nigdy zawieść jego zaufania. Ich dobre zdanie o nas bywało niekiedy ważniejsze niż to, co myślą nasi rodzice.

Kiedyś z koleżankami szłyśmy ulicą Kromera na lodowisko niedaleko szkoły. Na nogach miałyśmy łyżwy i nagle jedna z nas poślizgnęła się na kostce brukowej, a spod łyżew strzeliły iskry. Wyglądało to niesamowicie, ponieważ na dworze było już ciemno. Zaczęłyśmy się tak bawić, żeby te iskry powstawały. I nagle przed nami pojawili się policjanci, a właściwie milicjanci. Spisali nasze imiona i nazwiska, do której szkoły chodzimy, gdzie mieszkamy. Powiedzieli, że następnego dnia przyjdą do szkoły, do naszej wychowawczynie. My pół nocy nie spałyśmy z nerwów, że w szkole nauczyciele dowiedzą się, co zrobiłyśmy. Ale będzie wstyd! Na szczęście panowie tylko nas tak nastraszyli i nie pojawili się w szkole.

A jak wspomina pani swoją klasę?

Połączyły nas pasja do sportu i tańca. Byliśmy ze sobą bardzo zżyli. Z pewnością dlatego, że była to klasa sportowa – mieliśmy więc wspólny cel, musieliśmy nauczyć się rozwiązywać problemy.

Spędzaliśmy dużo czasu nie tylko w szkolnych ławach, ale przede wszystkim na boisku, na turniejach, wyjazdach, na których czasem wygrywaaliśmy, a czasem przegrywaliśmy. Była więc i radość, i łzy, a wiadomo, że emocje, tak samo jak sport, łączą.

Każdą osobę z mojej klasy do dziś jestem w stanie wymienić z imienia i nazwiska. Pamiętam nawet, kto w której ławce siedział.

Nasze przyjaźnie przeradzały się czasem w miłość. Tak było w przypadku Ani i Tadeusza, którzy zaprzyjaźnili się ze sobą w piątej klasie, a potem byli szczęśliwym małżeństwem.

Moją pierwszą sympatią był Rysio. To z nim pierwszy raz trzymałam się za rękę, byliśmy nawet razem w kinie. Zupełnie nie pamiętam, jaki

to był film, ale samo pójście z chłopakiem do kina to było wtedy duże przeżycie.

Do dziś z resztą wszyscy mamy kontakt ze sobą. Może nie jest to kontakt stały, ale spotykamy się średnio co pięć lat. Za każdym razem świetnie się bawimy. Rozmawiamy ze sobą tak, jakbyśmy widzieli się codziennie. Przez długi czas nasze spotkania zaszczycał swą obecnością wspomniany trener Michał Głowacki.

Jaką uczennicą i nastolatką była Iwona Pavlović?

W szkole podstawowej byłam drobną, małą dziewczynką. I dlatego wszyscy wołali na mnie „Mała”. Dopiero w szkole średniej urosłam, zmieniałam się.

Jeśli chodzi o charakter, już wtedy zarysowała się moja potrzeba niezależności. Byłam indywidualistką, ale grzeczną, żadna ze mnie buntowniczką. Mam gdzieś takie zdjęcie klasowe, na którym wszyscy są w mundurkach, a ja ubrana jestem w czarne spodnie i biały golf.

Niby na galowo, a jednak trochę po swojemu.

Nie będę też udawała, że w czasach podstawówki byłam stuprocentowo grzeczna. To wtedy pierwszy raz próbowałyśmy papierosów, carmenów. Bliskość parku sprzyjała różnym młodzieńczym grzeszkom. Potem przemycałam te papierosy do domu w podkolanówkach, żeby rodzice ich nie znaleźli.

A do domu chodziliśmy przez „Pekin” – to były takie stare budynki, trochę mroczne, znajdujące się w pobliżu Kromera, dziś już oczywiście nie istnieją. Zdarzały się tam jakieś drobne kradzieże, lepiej było nie pojawiać się tam samemu. Dlatego był czas, że rodzice wraz z nauczycielami patrolowali wieczorami ulice, żeby dzieci mogły bezpiecznie wracać do domów.

Co pani czuje, gdy dziś powraca do szkoły?

Czternastka była dla mnie miejscem cudownym. Jako uczennicy wszystko mi się tutaj podobało – miałam wspaniałe boisko, salę sportową, to było całe moje życie. Kiedy po latach tu wróciłam, już jako dorosła kobieta, przeżyłam szok. Wszystko stało się takie małe... I pomyśleć, że w najlepszych czasach w szkole uczyło się ponad 1000 uczniów! Jak oni się tutaj mieścili!?

Pani Iwono, czego życzyłaby Pani szanownej jubilatce Czternastce z okazji jej 65. urodzin?

Chciałabym, aby powrócił ten status nauczyciela, jaki był wtedy, kiedy ja chodziłam do szkoły. Aby praca z młodym ludźmi, dziećmi sprawiała nauczycielom przyjemność. Bo tylko pedagog, który czuje się szanowany i pasjonuje się tym, co robi, jest w stanie czegoś naprawdę nauczyć.

Nauczyciele, nie ustawajcie w odkrywaniu indywidualności wśród uczniów i wspierajcie ich w rozwoju.

Pragnęłabym też, by szkoła była bardziej skupiona na życiu i na wartościach, nie tylko na teoretycznej wiedzy. W życiu ważne jest to, jakim się jest człowiekiem, a nie tylko, jakie się ma oceny na świadectwie czy wyniki egzaminów.

Iwona Pavlović – absolwentka SP14 z roku 1977, tancerka, choreografka, międzynarodowy sędzia taneczny, konferansjerka, osobowość telewizyjna, jurorka w programie „Taniec z Gwiazdami”.



Szczepionka na życie

Czternastkę wspomina Wojciech Żołądkowicz

Panie Wojciechu, spotykamy się co prawda on-line, ale miejsce, w którym pan się znajduje, jako żywo przypomina mi szkolne pracownie do zajęć praktyczno-technicznych. Pamięta pan tę konkretną salę w Czternastce?

Wojciech Żołądkowicz: Pracownia ZPT znajdowała się w piwnicy, za metalowymi ciężkimi drzwiami. Czy są tam jeszcze takie drzwi?

Są, oczywiście, odnowione, pomalowane na kolorowo, ale pracowni już nie ma. Teraz w szatni znajduje się mała sala gimnastyczna, tzw. "lustrzanka" i „Schron Marzeń” – miejsce, z którego korzystają psycholodzy, terapeuci. W powietrzu nie wisi więc już ten specyficzny zapach smarów, olejów, o którym opowiadała mi jedna z absolwentek.

Pamięta pan nauczyciela techniki? I zapach tej pracowni?

Mieliśmy od ZPT dwóch nauczycieli. Jeden to był pan Olszewski, drugi pan Horodyski. Ten pierwszy nie wiedzieć czemu nazywany był przez starszych uczniów „Twaróg”. Bartek, mój szkolny przyjaciel, wymyślił więc, że będziemy do niego mówili „Yes Sir”.

Te zajęcia ZPT to było wielkie dobro. Fakt, że nie wszystko, co robiliśmy, zawsze nas fascynowało – było na przykład półrocze, kiedy szykowaliśmy kanapki czy wyszywaliśmy wzorki, ale nauczyliśmy się przyszywać guziki.

W istocie zajęcia praktyczne!

Trzeba było na przykład zrobić łyżkę do butów z pcv. Wymiarowanie czy rzutowanie to ja pamiętam właśnie z ZPT w szkole. (tu następuje

prezentacja własnoręcznie wykonanego rysunku technicznego, który robi na mnie spore wrażenie, mimo iż autor zastrzega, że wykonywał lepsze). Jestem całym sercem za tym, żeby to powróciło.

Czy stolarstwo, które jest pana wielką pasją, wzięło się stamtąd?

Tak, to dzięki tym ZPT-om. Wtedy poznałem też rzeczy związane z elektroniką, obwody, oporniki – to mi się przydaje do dziś.

Zajęcia praktyczno-techniczne były nawet ważniejsze niż to, że mój tata był architektem, miał w domu własny warsztat. Brakowało mu niekiedy czasu, żeby synowi pokazać, jak z tego dobrodziejstwa korzystać. Ale narzędzia były dostępne w piwnicy i ja starałem się nimi coś po swojemu udziernić.

Odwiedziliśmy już pracownię techniczną, najniższą kondygnację szkoły, możemy więc powędrować wyżej i powspominać, co tam się działo.

Moje lata nauki w Czternastce nałożyły się na czasy przełomu politycznego, 88-89 rok. PRL się kończył, zaczynaliśmy być Rzeczpospolitą Polską. Pamiętam jeszcze panów poprawiających pomnik generała Świerczewskiego, wiercili mu w uszach i nosie, by nadać wyrazistości rzeźbie. Trzy lata później pomnik zniknął. W takich dziwnych, ciekawych czasach przyszło nam się uczyć. Oczywiście my, dzieciaki, mało z tego kapowaliśmy. Więcej może rozumiał ten, kto miał rodziców, którzy tłumaczyli, co to jest komuna i że komuna jest „be”.

No tak, dla większości uczniów patron to patron, nie skupiają się aż tak bardzo na tym, czyje popiersie zdobi front szkoły. Właśnie, pamięta pan jakieś uroczystości ku czci patrona, w których pana rozpoznany już talent recytatorski był wykorzystywany?

W akademiach zacząłem uczestniczyć od klasy piątej, a wtedy to już była inna polityczna rzeczywistość. Były oczywiście różne akademie, w których brałem udział, ale ku czci tego patrona już nie.

Mam za to inne wspomnienie z tamtych czasów – jednego roku my, uczniowie wzorowi, nie otrzymaliśmy plakietki „wzorowy uczeń”, tylko „przodownik nauki”. Było to najprawdopodobniej w 88’. Plakietka przodownika była prostokątna i czerwona. Taki jednorazowy incydent, potem znów pojawiła się owalna, czerwona tarcza z białym napisem „wzorowy uczeń”.

Jakie uczucia wywołuje w panu wspomnienie podstawówki?

Ta szkoła miała dla mnie rozmaite barwy. Nosilem w sercu różne emocje. Wtedy człowiek po raz pierwszy borykał się z takimi tematami jak potrzeba akceptacji, wstyd, agresja ze strony starszych kolegów. Bardzo dobrze wspominam jedynie ostatnie lata szkoły. Zawiazywały się wtedy pierwsze poważne relacje, przyjaźnie. Po raz pierwszy się zakochałem. I to pierwsze zakochanie pamiętam do tej pory. Było oczywiście niespełnione. To pewnie historia niejednego chłopca: wstydziłem się podejść i powiedzieć wybrance mojego serca, co do niej czuję. A wybranką tą była piękna Kaśka. Chodziła do równoległej klasy, o symbolu... już nie pamiętam... „B”? Chyba do „b” chodziła Kaśka, Kasia.

Podstawówka to również pierwsze próby łamania zakazów, sięgania po niedozwolone napoje...

Poważnie? Już wtedy!?

Tak, siódma lub ósma klasa. Pamiętam też zabawy andrzejkowe, mogliśmy wtedy tańczyć na korytarzach. Najstarsi uczniowie byli didżejami. To oni rządili muzyką, decydowali o repertuarze. Strasznie byłem dumny, gdy w końcu i ja zostałem dopuszczony do sprzętu. No i pamiętam, że tam pokątnie miały miejsce różne młodzieńcze wybryki...

Dodawały skrzydeł młodemu chłopakowi, ale też szybko wychodziło na jaw – niewiele trzeba było, by się dać złapać.

Moim przyjacielem z klasy był wspomniany już Bartek. To była dla mnie bardzo ważna relacja. Razem robiliśmy coś, co dzisiaj uważam za niezbyt mądre i niebezpieczne – chodziliśmy po torach. Ich bliskość sprzyjała temu, by eksplorować drogę pociągów. W trakcie długiej przerwy, w ciągu tych piętnastu czy dwudziestu minut, około jedenastej trzydzieści wyskakiwaliśmy na peron drugi dworca Olsztyn Zachodni i chodziliśmy po płotkach oddzielających go od zieleni. Zasuwaliliśmy w jedną stronę, w drugą stronę – odcinek wystarczający, by go raz dwa pokonać i nie spóźnić się na lekcje. Ćwiczyliśmy równowagę na ogrodzeniach znajdujących się tuż przed szkołą. Chodziło o to, by z każdą kolejną próbą dłużej się utrzymać.

Graliśmy w piłkę nożną piłeczką tenisową. To była gra w Pelego przed szkołą.

Jakaś wariacja na temat piłki nożnej?

To była wówczas bardzo popularna gra i miała wiele różnych nazw w różnych miejscach. Chodziło o to, by piłkę kopnąć do bramki lub podać do kogoś innego z zespołu, tak, by on strzelił gola. Piłki nie można było dotknąć dwa razy z rzędu. Trzeba było albo podać, albo od razu strzelać do bramki.

Większość przerw spędzaliśmy przed szkołą.

Nie na boisku?

Nie, ono służyło do innych celów, korzystaliśmy z niego tylko podczas lekcji wf-u.

Z wf-u to akurat byłem noga. Jak graliśmy w piłkę – a robiliśmy to dość często, mnie zawsze wybierano do bramki. Dziś wiem, że to nie tylko

moje doświadczenie, wielu uczniów przeżyło podobną sytuację, wtedy jednak nie było mi do śmiechu i mocno to przeżywałem.

Takie samo wspomnienie ma mój dziewiętnastoletni syn. Wtedy było mu smutno, dziś podobnie jak pan, ma do tego ogromny dystans.

Dokładnie! A działało to tak: wuefista wskazywał dwóch chłopaków, np. Bartka i Adama, którzy najlepiej grali, i to oni dobierali sobie zespoły. No i Adaś wziął Leszka, bo Leszek dobrze gra, Bartek wziął Maciusia, a na końcu zostawali Piotruś z Wojtusiem. To na pewno nie było dydaktyczne, tak mi się wydaje, ale taki zwyczaj był.

Raz jeden, pamiętam, tylko jeden raz, nauczyciel wziął tych słabszych piłkarzy i to oni decydowali o składach. Odwróciły się role. I to było bardzo dobre.

Za to w czwartej klasie zrobiłem najwięcej pompek z całej klasy. Byłem z siebie cholernie dumny.

Jaka była pana klasa?

Były grupki, które trzymały się razem. Wśród chłopaków ze dwie, trzy – silniejsze i słabsze. Niestety, w podstawówce bardzo dobrze się miał mechanizm kozła ofiarnego, korzystniej więc było się znaleźć w grupce silniejszej. Akceptacja przez nich była szalenie ważna.

A pana miejsce?

Było coś takiego, pamiętam: Wojtek jest wzorowym uczniem, mówi te wiersze... Jakiś taki szacun miałem, ale nie ten związany z wychowaniem fizycznym. Chyba trochę nad tym ubolewałem. Natomiast przestało to mi przeszkadzać pod koniec szóstej, siódmej klasy. To rozgraniczenie na grupki zaczęło się zacierać. Ciekawość i żądza doświadczenia brała górę. Zakładaliśmy wtedy z Bartkiem ciężkie buty i chodziliśmy po torach, piliśmy razem tanie wino...

Słucham pana i utwierdzam się w przekonaniu, że w szkole dla uczniów najważniejsi są rówieśnicy i relacje między nimi.

Jeszcze do tych relacji powrócę. Któregoś roku na urodziny dostałem od Bartka pudełko zapalek, a w nim był robak zrobiony z kulki i folii, on sobie w tym pudełku tak pięknie, pyk pyk, chodził. A było to tak: pewnego dnia Bartek podchodzi do mnie i pokazuje pudełko i jego zawartość. A ja mówię: „Fajne, fajne!”. „To dla ciebie, bo ty masz urodziny”. Nie mogłem w to uwierzyć, ktoś specjalnie dla mnie postarał się, gdzieś tam kleił tego robaka – bo wcale nie jest łatwe go zrobić z folii aluminiowej. Miałem urodziny, więc on specjalnie dla mnie tego robaka wykombinował. Nie kupił czegoś gotowego, nie przyniósł pączka, tylko wykonał prezent własnoręcznie. I to był prawdziwy kumpel.

Później jeszcze wujek pokazał mi, jak robić i wywoływać zdjęcia. My z Bartkiem zwariowaliśmy na tym punkcie. Byliśmy zupełnie jak bohaterowie filmu „Marcowe migdały”.

Mówiąc o relacjach, muszę wspomnieć o książce, którą podarował mi tata – „Serce” Amicisa. Ta lektura mocno na mnie wpłynęła, rozwinęła moją wrażliwość. Było w naszej klasie kilkoro dzieci jakby pomijanych przez resztę – nie pamiętam, może biedniejszych, słabiej uczących się. Nikt nie chciał się z nimi bawić, nawiązywać kontaktów. Kiedyś na polski trzeba było zrobić coś zespołowo – bodajże słuchowisko (bo już mieliśmy kaseciaki). No to ja do swojego zespołu powybierałem tych, których nikt nie chciał.

Oczywiście trzeba zaznaczyć, że czasem znajdowałem się też w tym mniej szlachetnym gronie i też zdarzało mi się śmiać z tych pomijanych. Dzieci bywają czasem okrutne.

Doświadczają okrucieństwa i odwzajemniają się nim. Myślę, że każdy z nas ma pod tym względem coś „za uszami”.

A propos uprzedzeń. Przy ul. Curie-Skłodowskiej mieszkali Romowie. Jedna dziewczynka stamtąd chodziła do naszej szkoły. Pewnego razu podczas przerwy zaczęła mi cieknąć krew z nosa. Poszedłem z jakąś panią do toalety damskiej (do męskiej nie wchodziła), a tam była właśnie ta romska uczennica. Gdy mnie takiego zakrwawionego zobaczyła, wyjęła swoją chusteczkę – śnieżnobiałą, pięknie haftowaną – i podała mi, żebym wytarł krew.

To było dla mnie odkrycie. Osoba, której tak się nie lubi – z nieokreślonego powodu: bo nie, bo inni jej nie lubią – może być w porządku. To była dla mnie taka lekcja pokory.

I obalania stereotypów.

Szkoła w pobliżu dworca, takie miejsce zawsze zbiera specyficzną klientelę. Czy było to dla was – uczniów – niepokojące sąsiedztwo? Poza tym, że kuszące (spacery po torach!)

Zdarzyło się parę nefajnych rzeczy. Kiedyś szliśmy z kolegą, ktoś nas zaczepił i kazał mu zdjąć zegarek. Wiedzieliśmy, że boisko w parku trzeba omijać szerokim łukiem, gdy są tam starsi chłopcy. Natomiast ja myślałem, że tak jest wszędzie – nieważne, w pobliżu dworca czy nie, Grunwaldzka czy nie. Nigdy żadnych podziałów nie robiliśmy, albo o nich nie wiedzieliśmy.

Wracając do klas, jak liczne wtedy były?

W 1 – 3 były trzy klasy: „a”, „b” i „c”, liczyły 30 – 35 osób. Później wyłoniono z nich lepszych uczniów i utworzono klasę „d”, i ja się w niej znalazłem. W dzienniku byłem 33. bądź 34., wiadomo, jak to uczeń o nazwisku na „ż”.

Superoddział, choć trzeba przyznać, bardzo liczny.

Nie wiem, czy stworzenie podobnych klas było specjalnie pedagogiczne...

Porozmawiajmy teraz o pana nauczycielach .

Pierwsza wychowawczyni to pani Iwona Lemańska. Bardzo miło ją wspominam. Kiedy poszła na macierzyński, zastąpiła ją pani Jolanta Kierońska... w której się podkochiwałem. Jako jedyny z uczniów całowałem ją na powitanie i pożegnanie w rękę. Tata uczył mnie, że tak trzeba. Niestety dzisiaj ten gest nie zawsze jest mile widziany.

Niedawno znaleźliśmy się na fejsbuku. Była zdziwiona, że ją pamiętam... Jak mógłbym tego nie pamiętać!

Później nastąpiła czwarta klasa, więcej nauczycieli. Moją wychowawczynią została Anetta Socha. Wspaniała osoba. Wymagająca nauczycielka, ale też bardzo serdeczna. Lata po ukończeniu przeze mnie szkoły spotykaliśmy się, gadaliśmy. Co tam u ciebie, Wojtku? – pytała. A co tam u pani profesor? – podpytywałem ją ja, tytułując tak, jak mi zostało z czasów licealnych.

Matematyki uczyła Iwona Brudzewska. Iwona Brudzewska i Anetta Socha to były przyjaciółki. Razem chodziły do teatru, na „Śpiewajmy poezję”. „Z Brudzią idę” – mówiła pani Socha.

Jak przepadałem za panią Sochą, tak moja relacja z Iwoną Brudzewską była, delikatnie mówiąc, skomplikowana. Dopiero w ósmej klasie sytuacja się zmieniła. Wcześniej to raz nawet mama była w mojej sprawie u Brudzewskiej, bo coś jej nie pasowało czy też uważała, że byłem niesprawiedliwie oceniany. Chciała się dowiedzieć po prostu, co się dzieje, że jej syn nie ma piątek.

Bo to było coś takiego – mój ojciec wychodził z założenia, że skoro stać nas na książki, wszystko mam, to: „Dlaczego ty nie masz piątek, tylko pięć mniej? Pięć mniej???!!!” Pamiętam, że gdy w klasach młodszych klasach dostałem trójkę czy czwórkę, to raz wyrwałem kartkę, a kiedy indziej zakleiłem złą ocenę – dokleiłem coś w rogu kartki, w taki chamski sposób! Oczywiście próba oszustwa wyszła na jaw.

Za kłamstwo dostałem pasem! Że miałem jakieś trudności na wuefie – o tym się rodzicom w ogóle nie mówiło. Rodziców człowiek się bał. I nie zawracał im głowy głupotami. Dla wychowania w latach osiemdziesiątych charakterystyczne było takie myślenie: jakie ty, synku, możesz mieć nerwy? Ja to mam problemy, poważne, dorosłe, ale ty, dziecko, niby jakie? Deprecjonowanie młodych dramatów, które wydarzają się w sercu i umyśle młodego człowieka, było na porządku dziennym. Teraz ta sytuacja wygląda nieco lepiej, choć czasem mam wrażenie, że młodzi przeginają w drugą stronę.

Myślę więc, że jak we wszystkim, potrzebna jest równowaga. Młodzi ludzie mają prawo mieć swoje problemy, ale jeśli popadają w bierność, rezygnują z pracy nad sobą – trzeba to jakoś korygować.

Sporo ostatnio myślę o szkole, ale w nieco innym kontekście. Mam sześćioletniego syna, Kostka, który niebawem pójdzie do szkoły. To powoduje, że te wszystkie rzeczy, szkolne wspomnienia od mnie wracają.

Kto jeszcze spośród nauczycieli zapisał się w pana pamięci w sposób szczególny?

Pamiętam też panią Trawińską, która uczyła historii. Kiedy miał być sprawdzian, kupowaliśmy jej jakąś kolorową gazetę i kładliśmy przed lekcją na biurku. „Czy wy myślicie, że ja nie wiem, o co wam chodzi?” – komentowała ten nasz podstęp.

Jakoś do tej historii zawsze było mi daleko, mimo że zdawałem z niej maturę. Kiedyś pani Trawińska mówi tak: „Dzisiaj opowiem wam o najbardziej krwawym powstaniu w dziejach...” A ja na to: „kościuszkowskie!” „Gdzie!!! Kościuszek już dawno w grobie leży!”

Biologii uczyła nas pani Dembicka, później Potrapeluk. Bardzo ją lubiliśmy.

Bodajże to ona kiedyś przyszła z interwencją, bo myśmy się źle zachowywali, i mówi: „Ja to wszystko powiem pani So... – Pani Socha będzie o tym wiedziała.”

Jak już były zegarki elektroniczne, to tym zegarkiem puszczało się zajaczki pani Dębickiej po oczach. „Wojtek, przestań, myślisz, że nie wiem, że to ty?” – mówiła wtedy.

Pamiętam lekcję, podczas której omawialiśmy układ pokarmowy człowieka. Doszliśmy już do jelita grubego. Pani Dembicka opowiada, co się tam dzieje z pokarmem, i wtedy kolega Rafał wydobywa z siebie odgłos naśladujący... wiadomo co. Klasa oczywiście w śmiech, wydaje się, że już po zajęciach. A pani Dembicka elegancko to podchwyciła: „No to Rafał bardzo ładnie, bardzo obrazowo wam to zaprezentował”.

Wyobrażam sobie lekcje o układzie rozrodczym.

Podczas tych zajęć raczej towarzyszył nam wstyd. Pamiętam, jak pani Dembicka mówiła, że jeśli już będzie ta pierwsza menstruacja, to można się nią podzielić z mamą, siostrą. Kurczę, ale numer, myśleliśmy – dziewczyny będą się ze sobą dzielić miesiączką.

Cóż, my chłopcy, dojrzewaliśmy na swój sposób.

Ja myślę, że waszym chłopięcym wtajemniczeniem były m.in. te spacer po torach.

I noszenie innych ciuchów, jakiś rodzaj nonszalanckiej wobec szkoły.

Kogo z nauczycieli jeszcze pamiętam? Panią Ciombor od fizyki... Wszyscy się jej baliśmy. Pani Nina Olber – chemiczka, bardzo dobra, pod jej kierunkiem wziąłem udział w konkursie przedmiotowym, ale nie doszedłem zbyt daleko...

Była dziedzina w szkole, w której był pan słaby?

WF☺. No i nie śpiewałem zbyt dobrze, ale na szczęście rzadko robiliśmy to indywidualnie.

No właśnie, na liście przedmiotów, o których jeszcze nie wspomnieliśmy, pozostały plastyka i muzyka. Jakież anegdoty związane z tymi lekcjami?

Pamiętam, że od pewnego momentu przedmiotów tych uczyła nas pani Borys, ale czy sytuacja, którą przytoczę, związana była z nią, tego nie jestem pewien. W telewizji leciał „Miś” Barei, ze słynną przyspiewką Jarząbka „łubu dubu/ łubu dubu/ niech nam żyje/ prezes naszego klubu...”. Chłopaki z naszej klasy podchwycili melodię, a tekst przekształcili na „Riki tiki, riki tiki, niech nam żyje pani od muzyki!”

Przywitaliście panią w ten sposób?

Tak, było to bardzo fajne! To już w ogóle był czas, kiedy stawaliśmy się podlotkami, zmieniał się nasz stosunek do nauczycieli, a zwłaszcza do nauczycielek, których atrakcyjność nagle zaczęliśmy dostrzegać. Zaglądało się im do dekolców...

W kronikach szkolnych jest pan „odnotowany” jako uzdolniony recytator, laureat wielu konkursów. Jak to się zaczęło?

Tak się stało, że poznaliśmy rodzinę Artura Steranko. To jest bardzo dobry aktor, do dziś związany z Teatrem Jaracza. Pracowałem z nim od trzeciej klasy szkoły podstawowej i to on przede wszystkim przygotowywał mnie do niektórych recytacji. Nagrody, które otrzymywałem, po połowie należały się i mnie, i jemu.

Miał Pan w rodzinie artystyczne tradycje?

W rodzinie tak, choć nie zawodowe. Moi rodzice poznali się na wojewódzkim konkursie recytatorskim.

Nie miał pan wyboru ☺.

No nie. Mój tata kończył budowlankę, a tam uczyła go pani Teresa Kondratowicz. Kiedy przeczytała w gazecie, że jakiś Żołądkowicz wygrał konkurs, od razu wiedziała, że tu chodzi o syna Józefa. Zadzwoiła do taty i skomentowała to tak: „Obciążenie dziedziczne”. Rzeczywiście, poezja była bardzo obecna w naszym domu – mama mówiła wiersze, tata również. Poezja odegrała ważną rolę w czasie ich narzeczeństwa, zwłaszcza Leśmian, którego ja poznałem później.

A czyje wiersze recytował pan jako uczeń podstawówki?

W podstawówce to był przede wszystkim Brzechwa.

Wyobrażam sobie, że rodzice byli bardzo zaangażowani w proces przygotowania do konkursów, chociażby ze względu na własną przeszłość.

Tak, jak najbardziej, choć gdy zacząłem pracować z Arturem, nie mieli już za wiele od powiedzenia.

I tak dochodzimy do wyboru zawodu...

Rodzice pchali mnie w kierunku humanistycznym. Zaraz po liceum startowałem na prawo, ale dostałem się na administrację, którą próbowałem studiować. Ostatecznie jednak zdecydowałem, że chcę na poważnie przygotować się do egzaminów do szkoły aktorskiej.

W 2006 roku za rolę w dyplomowym przedstawieniu „Opowieści Hollywoodu” otrzymał pan pierwszą nagrodę na XXIV Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi. Był pan również nominowany do nagrody Feliks Warszawski w kategorii za najlepszą drugoplanową rolę. A dziś jest pan bardzo ceniony jako lektor audiobooków.

No właśnie, bo to jeszcze trzeba wspomnieć – że ja w świetlicy czytałem dzieciom. Panie świetliczanki miały spokój, bo Wojtuś brał „Kozuchę kłamczuchę”, a dzieci mnie słuchały. Bo ja czytałem dobrze. Technicznie i interpretacyjne. Słowo było obecne w moim życiu od zawsze.

Może więc powrócimy do tej świetlicy. Da się pan namówić na przeczytanie „Kozuchy Kłamczuchy” raz jeszcze?

Bardzo chętnie.

Wojciech Żołądkowicz – rocznik 1980, absolwent SP 14 z roku 1994r. Już jako uczeń szkoły podstawowej zdobywał laury w licznych konkursach recytatorskich. Aktor teatralny i filmowy, lektor audiobooków, człowiek wielu talentów i pasji, miłośnik żeglarstwa i stolarstwa.



Sport i przyjaźń – to zawdzięczam Czternastce

Wspomnienia Pawła Głowackiego

Zdradźmy czytelnikom kulisy naszego spotkania. Zanim usiedliśmy, by porozmawiać, pochodziliśmy trochę po szkole. I co? Jakie są Twoje wrażenie po latach?

Niewiele się zmieniło... Boisko wygląda prawie tak jak za moich czasów, tylko jego okolice są inne. Kiedyś tam naprzeciwko szkoły, za płotem, biegały kury pana Błażewicza – woźnego. Taki mieliśmy miejsko – wiejski klimat.

A co do wyglądu boiska, to tamten beton jakoś nam szczególnie nie przeszkadzał. Graliśmy na nim cały czas, katowaliśmy je niemal w każdą przerwę. A po lekcjach to samo, tylko że w pobliżu domu.

Za to sala gimnastyczna wydaje mi się jakaś mniejsza.

Pani Małgorzata Socha opowiadała, że drużyny prowadzone przez twojego tatę, dziewczyny i chłopcy, rozgrywały w tej niewielkiej sali regularne mecze piłki ręcznej. Byłam zaskoczona.

Mój tata wychował tutaj reprezentanta Polski, Marka Niedźwieckiego.

Dla Ciebie sala to też było ważne miejsce.

Tak, bardzo ważne. Mieliśmy super wuefistę, pana Andrzeja Turkota. Był świeżo upieczonym nauczycielem, dwa, trzy lata po studiach. Naprawdę fajnie prowadził zajęcia. Pokazywał nam różne dyscypliny, chciał nas wszystkiego nauczyć, dać podstawy. Zapisywał nas na biegi przełajowe, np. w parku Kusocińskiego, na turnieje piłki nożnej,

siatkówki, koszykówki. Co ciekawe, ja we wszystkich tych dyscyplinach reprezentowałem szkołę.

Pan Turkot był zawsze mocno zaangażowany. Nigdy nie zdarzyło mu się, żeby – tak jak niektórzy wuefiści – rzucił nam piłkę, mówiąc: „macie i grajcie”.

Sport był od zawsze i nieustannie obecny w twoim życiu?

Oczywiście. W szkole miałem świetne lekcje z panem Turkotem. A gdy wracałem do domu, rzucałem w ką w plecach i leciałem na boisko. Wracałem dopiero, gdy mama wołała na kolację. I tak się wolny czas spędzało. Nie było jakichś zajęć dodatkowych. Dopiero od szóstej klasy na piłkę zacząłem chodzić. Wcześniej trenowałem jeszcze badminton i bardzo poważnie traktowałem ten sport.

O sportowych wyborach porozmawiamy później. Powróćmy jeszcze na szkolne korytarze. Jakie są Twoje najwcześniejsze wspomnienia?

Pierwszy dzień szkoły pamiętam dość dobrze – był uroczysty apel na boisku szkolnym, przemawiała pani Ciborowska. Potem, pewnie kilka tygodni później, odbyło się ślubowanie klas pierwszych.

Z pierwszej klasy pamiętam jeszcze turniej „Czar Par” zorganizowany na walentynki. Wziąłem w nim udział z koleżanką z klasy, Olą – moją pierwszą szkolną miłością. I chyba nawet wygraliśmy!

Jaka była twoja klasa?

Najlepsza! Z tej klasy mam paczkę przyjaciół, z którymi jesteśmy blisko do tej pory: Piotrek Leśny, Rafał Janukiewicz, Kamil Wypych, Andrzej Dudziec. Mimo że rozstaliśmy się na czas szkoły średniej: jeden poszedł do gastronomika, drugi do technikum, trzeci do liceum, to od 26 lat trzymamy się razem, wspieramy, średnio raz na dwa tygodnie

spotykamy. Z Andrzejem dzwoniemy do siebie najczęściej. A ponieważ on jest zapalonym kibicem piłki, spotykamy się też, by razem oglądać mecze.

A byli w tej klasie jakieś dziewczyny, koleżanki?

Oczywiście. Nie tylko koleżanki, a nawet sympatie. Pierwszą była wspomniana już Ola z „Czaru Par”.

W piątej klasie doszła do nas pewna Agata. Z nią to już oficjalnie chodziłem. Okoliczności, w których do tego doszło, były przezabawne. Któregoś dnia wracałem ze szkoły do domu. Sam – jako jedyny mieszkalem na ulicy Zielonej, przy Jeziorze Długim, cała reszta mieszkała w pobliżu szkoły. Nagle podbiega do mnie koleżanka Agaty, Ola, i mówi tak. „Wiesz co, Paweł, mam takie pytanie od Agaty do ciebie. „No, słucham”. „No bo my byliśmy na twoim meczu koszykówki. Agacie bardzo podobało się, jak zagrałeś. I ona pyta, czy chcesz z nią chodzić. „No to odpowiedz jej, że tak.”

Tak to się wtedy załatwiało.

Wiesz, ja w tym czasie byłem bardzo nieśmiały. Wstydziłem się dziewcząt – nawet jeszcze w liceum.

To nasze chodzenie było bardzo dziwne. Niby byliśmy razem, a tak naprawdę w ciągu miesiąca może dwa razy zamieniliśmy słowo.

W szóstej czy siódmej klasie przez przypadek odwiedziłem Agatę w domu. Właściwie to poszedłem tam z moim młodszym bratem, który kumplował się z jej młodszym bratem, mieli się razem bawić. To było jakoś po wakacjach. W pewnej chwili Agata podchodzi do mnie i pyta: „Czy my jesteśmy dalej razem?” A ja na to: „Tak, jesteśmy”. „No to masz tu ode mnie gumę hubba bubba”

Dziwne rzeczy zapamiętuje się z podstawówki, takie dziecięce miłostki.

Bardzo dobrze, że to zapamiętałeś, świetna historia. A jaki był finał tej znajomości?

Po jakimś czasie rozstaliśmy się, ale nie pamiętam, w jakich okolicznościach. Później do naszej klasy doszła Beata. Ona i Agata to były dwie kumpele. Z Beatą zaczęliśmy chodzić pod koniec szkoły. Mieszkała w Gutkowie. Pewnego razu ją tam odwiedziłem. Było lato, gorąco, zdecydowaliśmy, że pójdziemy na plażę. „No dobrze, to pójdę do domu, przebiorę się i wezmę jakiś koc” – mówi Beata. Po jakimś czasie wychodzi z domu, ale z pustymi rękoma. A gdzie masz koc? – pytam. „Mama nie pozwoliła mi wziąć”

Twoje życie sportowe i towarzyskie w Czternastce rozkwitało – mimo nieśmiałości. A co z nauką?

Pod tym względem nie stresowałem się jakoś szczególnie. Do szkoły chodziłem chętnie i – o ile nie brałem udziału w jakichś zawodach, byłem zawsze obecny. Bardzo rzadko chorowałem. Miałem jedną z lepszych frekwencji. Zadań dodatkowych nie odrabiałem. Robiłem to, co było konieczne – powtarzałem materiał przed sprawdzianem, ale żeby z własnej woli uczyć się, to raczej nie. Byłem takim czwórkowym uczniem. Szóstki, piątki też się zdarzały, ale rzadko. Wzorowy byłem tylko w klasach I – III, później już nie. Średnią miałem jednak zwykle powyżej czterech.

Rodzice nie naciskali?

Nie, tata mawiał tak: „Ty nie musisz się dużo uczyć, ale masz mieć dobre oceny”.

Jasna sprawa.

Do ocen miał podejście bardzo życiowe. Zależało mu na tym, żebym sobie po prostu dawał radę w życiu i dobrze wykorzystywał to, czego się nauczyłem.

Pamiętasz inne lekcje poza wuefem?

Pamiętam fizykę i panią Ciombor, która jej uczyła. To była prawdziwa kosa!

Nie miała z wami lekko. Uczyła jednego z najtrudniejszych przedmiotów!

Szczerze mówiąc, za fizyką nie przepadałem. Zdecydowanie wolałem matematykę z panią Pietruszko.

Pamiętam natomiast, że podczas jednej z lekcji pani Ciombor przeprowadziła pewien eksperyment. Do wielkiego naczynia wsypała najpierw groch, następnie zapytała nas, co się stanie, jeśli do środka dorzuci mniejszych kulek – zajmie to wszystko więcej czy mniej miejsca? My oczywiście mówiliśmy, że więcej, a okazało się, że wręcz przeciwnie. Mniejsze kulki powchodziły w przestrzenie między większymi. Na koniec pani Ciombor dosypała jeszcze piasku, co oczywiście nie zwiększyło objętości.

A inne przedmioty?

Polskiego uczyła mnie pani Socha.

Dobrze, że choć nauczycielkę pamiętasz:)

A wracając do wuefu, to często mieliśmy go na pierwszym piętrze, na korytarzu. Ale to było raczej w tych młodszych klasach, trzeciej, czwartej. Graliśmy tu nawet w piłkę.

Pamiętasz swoje wychowawczynie?

W klasach I – III była to pani Ziarek, którą wkrótce zastąpiła pani Żarczyńska. A w starszych klasach była to pani Bednarczyk, która uczyła mnie plastyki. Wiesz, nie był to mój ulubiony przedmiot, mało mnie inte-

resował. Zwykle było tak, że jeśli wykonywaliśmy jakąś pracę na lekcjach, przeciągałem to, żeby skończyć w domu. A tam pomagała mi mama.

Dostawałeś za te prace piątki?

Właśnie nie! Trójkę, maksymalnie czwórkę. Najwidoczniej plastyka nie była też mocną stroną mojej mamy...

Albo pani odkryła Twój podstęp. A jaką była wychowawczynią?

Z pewnością taką, której zależało, byśmy mieli ze szkoły dużo wspomnień. Często jeździliśmy na wycieczki i zielone szkoły, np. do Jażdżówek, Swobodna koło dobrego Miasta. To były wyjazdy kilkudniowe, nocowaliśmy wtedy w domkach, po sześć osób. Było też dużo imprez klasowych.

Na zakończenie ósmej klasy pojechaliśmy na czterodniową wycieczkę do Krakowa. Spaliśmy w jakimś akademiku. Dużo zwiedzaliśmy, chodziliśmy, byliśmy m.in. w Ojcowskim Parku Narodowym.

A wracając jeszcze do tej plastyki... Jeśli temat pracy był dowolny, to rysowałem boisko albo coś innego związanego ze sportem.

Czy kogokolwiek to dziwiło?

Ten temat był na co dzień obecny w domu.

Wyjaśnij nam teraz, jak to się stało, że zrezygnowałeś z badmingtona na rzecz piłki?

W szóstej klasie mój wujek, który był trenerem w Stomilu, organizował wyjazd do Danii na międzynarodowy turniej. Spytał, czy nie chciałbym z nim pojechać. „Czemu nie?” – pomyślałem. Pojechałem, spodobało mi się, dobrze się zaprezentowałem. Po powrocie jeszcze chyba przez rok trenowałem dwie dyscypliny, ale w końcu postawiłem na piłkę nożną.

Myśląc poważnie o karierze sportowej, przeniósłem się nawet na moment do szkoły sportowej. A tam trafiłem do klasy gimnastyczek sportowych, wszystko było ustawione pod nie! Nie było z kim grać, więc szybko wróciłem do Czternastki.

Od wyjazdu do Danii się zaczęło, a co było dalej?

Dołączyłem do szkółki piłkarskiej Stomilu. Prowadzili ją dwaj trenerzy, jeszcze wtedy czynni zawodnicy. Gdy mieli mecze, zastępował ich mój wujek. Trenowaliśmy przy Warszawskiej, przy jednostce. To boisko wojskowe było w tragicznym stanie, w cieplejsze dni unosiły się nad nami tumany kurzu. Tata jednego z kolegów z drużyny był strażakiem, czasami przyjeżdżał wozem i polewał nam to boisko.

Twój plan dnia musiał być wtedy bardzo napięty. Szkoła, turnieje, treningi... Nie byłeś ciągle zmęczony?

Wyglądało to tak: rano szedłem do szkoły, potem był trening. A po treningu miałem jeszcze tyle siły i energii, żeby na osiedlowym boisku pograć z kolegami. Nigdy nie odrabiałem lekcji zaraz po powrocie do domu.

Byłeś niezmordowany.

Na ogródki działkowe się szło, tam był kran, to się człowiek napił, kolejka do niego zawsze stała. Nie wiem, czy to było takie fajne, że każdy żłopał z tego samego kranu, ale kto by się tym wtedy przejmował?

A w weekendy albo mecz, albo turniej, wyjeżdżało się.

Poza ty, wiesz, musiałem sobie radzić. Rodzice wymagali tego ode mnie. Przygotowywali mnie do samodzielnego życia. Kiedy miałem 12 – 13 lat, kazali mi pójść na rynek, na Grunwaldzką, kupić kurczaka i ugotować rosół. Podobnie postępowali względem całej naszej trójki.

Wszyscy poszliście w ślady taty. Ukończyliście AWF. Za Tobą piękna kariera sportowa. Byłeś piłkarzem, trenerem Stomilu Olsztyn, kierownikiem drużyny. Jakie cechy uznałbyś za pożądane u dobrego trenera, nauczyciela?

Na pewno musi być sprawiedliwy. Zawodnicy, uczniowie bardzo szybko wyczuwają fałsz, a wtedy tracą motywację. Sprawiedliwość, uczciwość, lojalność – te cechy są konieczne. Trener musi być po prostu dobrym człowiekiem, empatycznym. Kompetencje miękkie są ważniejsze nawet niż warsztat, którego łatwiej się nauczyć.

Zawsze znajdowałeś się gronie tych lubiących wf i najbardziej wysportowanych uczniów. Jak to robić, żeby dziś dzieci chciały ćwiczyć?

Na pewno wuefista musi być zaangażowany. Dla mnie wzorem i najważniejszym idolem był tata. Jemu zawsze się chciało. To on między innymi przygotowywał lodowisko na Kromera, dbał o nie, często zostawał po godzinach. Nie skupiał się na brakach, niedoborach. Zależało mu, żeby zrobić coś fajnego. I to jest chyba kluczowe.

Tacie zawdzięczam najwięcej. A drugim przykładem idealnego wuefisty jest pan Andrzej Turkot. To również dzięki niemu tak rozwinąłem się sportowo.

Czy osiągnąłeś w piłce to, co chciałeś?

Ja jakoś nigdy nie zakładałem jakiegoś określonego celu. Wierzyłem, że co ma być, to będzie. Trzeba się było starać, robić swoje, być systematycznym, cierpliwym. Cierpliwość to w ogóle jest słowo klucz w piłce nożnej.

W życiu również.

Trzeba się nauczyć dobrze znosić zarówno porażki, jak i sukcesy. Z tymi pierwszymi jest tak: jeśli pojawiają się kłody pod nogami, trzeba je akceptować, nie przejmować się za bardzo i dalej robić swoje.

Pozornie łatwiej jest przyjąć sukces. Wraz z nim przychodzi satysfakcja, zadowolenie. Można się jednak wtedy zapomnieć, osiąść na tych laurach, zachłysnąć.

A przecież następnego dnia też jest trening, za tydzień jest kolejny mecz, który też trzeba dobrze zagrać.

Czy tego według Ciebie powinna uczyć współczesna szkoła?

Radzenia sobie w życiu – tego najbardziej. Chciałbym, żeby szkoła bardziej przygotowywała do samodzielności. Podoba mi się model amerykański, o którym kiedyś opowiadał mi kolega. „Wiecie, czego oni się tam uczą? – opowiadał. „Z matematyki są słabi, ale z życia dużo lepsi od nas. Na lekcjach idą na pocztę, wysyłają list. Albo odbierają awizo. Albo nie wiem, idą do urzędu, załatwiają coś”. Mam okazję obserwować młodych piłkarzy, którzy odnoszą sukcesy sportowe, a w sprawach życiowych gubią się zupełnie. Może warto o takie sprawy zadbać?

Paweł Głowacki – piłkarz, trener i kierownik drużyny, przez wiele lat związany z drużyną Stomil Olsztyn



Życie szkolne to coś więcej niż nauka

wspomina Iga Sztąberska-Molga

Do SP 14 uczęszczałam w latach 1991 – 1999. Podstawówkę wspominam bardzo dobrze. Moja klasa była bardzo fajna, sympatyczna – wszyscy się wspieraliśmy. Mieliśmy dużo wycieczek, między innymi do Warszawy. Zwiedzaliśmy, ale też obowiązkowym punktem programu był spektakl teatralny. Życie w szkole nie skupiało się tylko na nauce. Nauczyciele dbali o to, by nas „ukulturalnić”, co wtedy nie wszystkim pasowało, ale dziś myślę, że było potrzebne. Ciągłe więc gdzieś chodziliśmy, jeździliśmy. Uczestniczyliśmy w różnych wydarzeniach organizowanych przez olsztyńskie biblioteki. Co miesiąc zabierano nas do filharmonii – nie tylko chętnych uczniów, lecz całą szkołę, obowiązkowo, bez dyskusji. Byliśmy też na bieżąco z repertuarem kinowym, regularnie chodziliśmy do Kina Awangarda czy do nieistniejącego już Kopernika.

Bardzo szanowało się nauczycieli, a oni byli mili i życzliwi. Mieliśmy wspaniałą wychowawczynię – panią Ewę Kozłowską, matematyczkę. Zawsze nas wspierała i stawiała w naszej obronie. A gdy raz zwagrowaliśmy, ukarała nas, jak na matematyczkę przystało – musieliśmy wykonać z papieru modele różnych brył. Mam wrażenie, że te nasze dzieła do tej pory stoją w sali matematycznej, choć może to dokonania innych wagarowiczów?

Serdecznie wspominam panią Małgorzatę Sochę, polonistkę. Była wybitną specjalistką w swojej dziedzinie – mądrą, czytana, świetną dydaktycznie. Zawsze wiedziała, czego oczekiwać od ucznia. Nie oczekiwała, że wszyscy będą ekspertami od języka polskiego. Jeśli zauważyła, że uczeń czymś się stresuje, ma blokadę np. przed głośnym czytaniem, nie maltretowała zawodnika. Czekala, aż będzie gotowy – tak było ze mną. I za to jestem jej bardzo wdzięczna.

Jeśli chodzi o wf, to miałam dwóch nauczycieli. Najpierw była to taka starsza już pani, której nazwiska niestety nie pamiętam. No i jak to w dawnych czasach na wf-ie, kazała nam stawać nam na rękach, skakać przez kozła. Czy teraz się robi takie rzeczy? ☺ A potem nastąpiła era pani Ireny Podolak i trzeba było biegać!!! W tym czasie znałam dosłownie każdy kamyczek na pętelce wokół fontanny przy Casablance. I każdy krzaczek – trzeba się było gdzieś schować na chwilę, odpocząć.

Bardzo oryginalne były lekcje techniki. Szkoda, że dziś już nie ma takich zajęć. Przybijaliśmy gwoździe, używaliśmy śrubokrętów, szyliśmy, ćwiczyliśmy pismo techniczne. Tego wszystkiego uczył pan Horodyski. Zajęcia techniczne odbywały się w szatni. W pracowni technicznej pachniało dość specyficznym, delikatnym zapachem – jakimiś smarami, olejami... Ale chyba aż tak nam ten zapach nie przeszkadzał, skoro w tym samym pomieszczeniu robiliśmy kanapki i sałatki. I od razu je zjadaliśmy.

Nauczycielką, której wszyscy się bali, była pani Ciombor od fizyki. Jak ona strasznie krzyczała! Była też mistrzynią ciętej riposty. Gdy ktoś ziewnął i nie zasłonił buzi, mówiła: „Zasłaniaj buzię, bo nie chcę widzieć twojej wątroby!” czy jakoś tak... ☺

Co poza nauką i kulturą? Życie rozrywkowe w Czternastce kwitło! W klasach 4 – 8, tak w okolicach czerwca, jeździło się na zielone szkoły i to też było super!!! Przeglądałam niedawno zdjęcia z Waszety. Pojechała tam z nami wychowawczynie, pani Kozłowska i pani Socha. Pływaliśmy kajakami, kąpaliśmy się. Nikt niczego nie zbroił, nie zrobił sobie krzywdy – to był naprawdę dobry czas.

A w okolicach andrzejek i karnawału odbywały się oczywiście bale przebierańców. Przygotowanie kostiumu wcale nie było takie proste – czasy były biedniejsze, nie można było kupić gotowych strojów. Trzeba było wykazać się nie lada kreatywnością i pomysłowością. Na efekcie zależało nam bardzo – na koniec każdej imprezy wybierano najlepsze przebranie. Czy zdarzyło mi się wygrać? Raz albo nawet dwa razy. Pamiętam, że przebrałam się za Korę, innym razem byłam Pippi.

Szkoła to też, wiadomo, różne apele. Wierszyków nie recytowałam, ale za to śpiewałam w chórze, który już za moich czasów prowadziła pani Hanna Borys. Bardzo to lubiłam – przed występami odbywały się liczne próby, na które zawsze zwalniano nas z lekcji! A który uczeń nie lubi mieć trochę wolnego? I nawet stres związany z występem nie odbierał nam przyjemności z legalnych wagarów!

A z tematów mrożących krew w żyłach... Żartuję oczywiście, ale wiadomo, u dentysty bywa różnie. W Czternastce był za moich czasów gabinet stomatologiczny. Pani, która tam przyjmowała, była postrachem wszystkich uczniów, a wizyty w jej gabinecie wspominam jako najprawdziwszą masakrę. Na szczęście szybko się okazało, że jak rodzic napisze kartkę, to już nie trzeba będzie odwiedzać tego szkolnego gabinetu tortur!!! No i jeszcze fluoryzacja! Okropieństwo!

Pod koniec ósmej klasy odbył się w naszej szkole bal absolwentów. W sali gimnastycznej po raz pierwszy tańczyliśmy poważny taniec – poloneza. Jak my się tam wszyscy w tej auli pomieściliśmy, cztery klasy – nie wiem sama! Pamiętam jednak, że czuliśmy się wtedy tacy wyjątkowi, poważni i już dorośli. Tak bardzo chcieliśmy wyfrunąć ze szkoły, odciąć od wrzaskliwej dzieciarni, rozwinąć skrzydła i poczuć niezależność!

Wzruszam się, gdy wspominam ten młodzieńczy czas. O Czternastce i czasie spędzonym w podstawówce myślę zdecydowanie cieplej niż o liceum. Może dlatego powróciłam do niej jako nauczycielka?

Szkoła wydawała mi się kiedyś taka duża. Dziś, kiedy w niej pracuję, widzę ją zupełnie inaczej. Przecież to naprawdę niewielka placówka w porównaniu z olsztyńskimi molochami. Dla dzieci to dobrze! Chciałabym, by wszyscy – zarówno dzieci, jak i rodzice – bardziej ten karmelny klimat doceniali. I żeby szanowano nauczycieli tak jak my kiedyś.

Iga Sztąberska-Molga – absolwentka SP14 z roku 1999, obecnie pracuje w świetlicy szkolnej.

ZESTAWIENIA

Kadra Pedagogiczna Szkoły Podstawowej nr 14 i Gimnazjum nr 5

1959/60

1. Gerszberg Andrzej – kierownik szkoły
2. Kleszczyński Lesław – zastępca kierownika
3. Barabasz Wanda – nauczycielka geografii
4. Cymerman Herbert – nauczyciel fizyki
5. Dyro Maria – nauczycielka I – IV
6. Gerszberg Teresa – nauczycielka I – IV
7. Mieloch Kazimiera – nauczycielka wychowania fizycznego
8. Mielewska Krystyna – nauczycielka prac ręcznych
9. Nadratowska Jadwiga – nauczycielka I – IV
10. Oleksiak Halina – nauczycielka języka polskiego
11. Terlecka Halina – nauczycielka języka polskiego
12. Jabłoński Jan – nauczyciel prac ręcznych
13. Juskiewicz Wenefryda – nauczycielka biologii
14. Dudziak Irena – nauczycielka matematyki
15. Wolińska Krystyna – nauczycielka geografii, historii
16. Makarowska Katarzyna – nauczycielka chemii
17. Malewska Dominika – nauczycielka języka rosyjskiego
18. Łuczak Stanisława – nauczycielka I – IV
19. Pergoł Barbara – nauczycielka I – IV
20. Gęsicka Danuta – nauczycielka I – IV
21. Fudała Janina – nauczycielka języka polskiego
22. Struczevska Czesława – bibliotekarka
23. Cygal Maria – nauczycielka I – IV
24. Balewska Zofia – kierownik świetlicy

25. Jaremek Alfreda – nauczycielka I – IV
26. Bałaj Anna – nauczycielka I – IV
27. Krajewska Urszula – nauczycielka języka polskiego
28. Kielczewski Ryszard – nauczyciel wychowania fizycznego
29. Spychała Janina – nauczycielka I – IV
30. Kulesza Janina – nauczycielka I – IV
31. Rożek Alina – nauczycielka matematyki

1971/72

1. Gerszberg Andrzej – kierownik
2. Kleszczyński Lesław – zastępca kierownika
3. Oleksiak Halina – zastępca kierownika
4. Ziarek Teodozja – wychowawczyni kl. 1a (35 uczniów)
5. Mieloch Kazimiera – wychowawczyni kl. 1b (35 uczniów)
6. Piotrowska Barbara – wychowawczyni kl. 2a (34 uczniów)
7. Barabasz Wanda – wychowawczyni kl. 2b (32 uczniów)
8. Dyro Maria – wychowawczyni kl. 3a (24 uczniów)
9. Juskiewicz Wenefryda – wychowawczyni kl. 3b (23 uczniów)
10. Nadratowska Jadwiga – wychowawczyni kl. 3c (24 uczniów)
11. Bułgajewska Ewa – wychowawczyni kl. IVa (30 uczniów)
12. Słomka ???? kl. IVb (30 uczniów)
13. Nadratowska Jadwiga – wychowawczyni kl. IVc (25 uczniów)
14. Mielewska Krystyna – wychowawczyni kl. Va (33 uczniów)
14. Opieczonek Halina – wychowawczyni kl. Vb (32 uczniów)
15. Grzelak Maria – wychowawczyni kl. Vc (32 uczniów)
16. Torska Krystyna – wychowawczyni kl. VIa (33 uczniów)
17. Wolińska Krystyna – wychowawczyni kl. VIb (32 uczniów)
18. Józwowicz Maria – wychowawczyni kl. VIc (34 uczniów)
19. Rożek Alina – wychowawczyni kl. VIIa (34 uczniów)
20. Piotrowska Grażyna – wychowawczyni kl. VIIb (35 uczniów)
21. Dudziak Irena – wychowawczyni kl. VIIc (22 uczniów)
22. Burliga Zofia – wychowawczyni kl. VIId (36 uczniów)
23. Bramańska Felicja – wychowawczyni kl. VIIa (nie podano)

24. Kijak Emilia – wychowawczyni kl. VIIIb (nie podano)
25. Klimczyk Maria – wychowawczyni kl. VIIIc (nie podano)
26. Jabłoński Jan
27. Pobot Benedykt
28. Ciombor Barbara
29. Dalecka Bronisława
30. Struczewska Czesława
31. Gerszberg Teresa
32. Lewandowska Lidia

1985/86

1. Jan Jabłoński – dyrektor
2. Danuta Ciborowska – zastępca dyrektora
3. Janina Biała
4. Iwona Brudzewska
5. Janina Adamska
6. Barbara Ciombor
7. Alicja Dramińska
8. Maria Dyro
9. Michał Głowacki
10. Danuta Gronowska
11. Henryka Gudelis
12. Halina Jędrzejewska
13. Jolanta Kierońska
14. Teresa Korpál
15. Mirosława Kowalkowska
16. Renata Jórzak
17. Liliana Lewandowska
18. Danuta Mackiewicz
19. Kazimiera Mieloch
20. Jadwiga Nadratowska
21. Kazimiera Narkiewicz
22. Helena Nowak

23. Jadwiga Królikowska
24. Janina Olber
25. Halina Opiechonek
26. Krystyna Pasymowska
27. Barbara Piotrowska
28. Grażyna Piotrowska
29. Elżbieta Pawlina
30. Zofia Reisch
31. Alina Rożek
32. Katarzyna Sadowska
33. Wojciech Smoliński
34. Barbara Sołtysiak
35. Sabina Sosna
36. Lidia Rychert
37. Maciej Stefański
38. Sławomir Stefański
39. Barbara Suchocka
40. Barbara Szafranek
41. Krystyna Szukiewicz
42. Gabriela Teofilak
43. Krystyna Torska
44. Leontyna Tuńska
45. Władysława Wolak
46. Krystyna Chojnowska
47. Teofila Ziarek

2000/2001

1. Żukowska Elżbieta
2. Biadun Jolanta
3. Bogdańska Alina
4. Borys Hanna
5. Ciombor Barbara
6. Dębowska Katarzyna

7. Jabłońska-Sokołowska Małgorzata
8. Kaska Wojciech
9. Kociszewska Beata
10. Kozak Jarosława
11. Kozłowska Ewa
12. Melgaard Ala
13. Moroz Lech
14. Pietruszko Urszula
15. Podolak Irena
16. Potrapeluk Katarzyna
17. Smarkiewicz Elżbieta
18. Stoltman Alicja
19. Trawińska Barbara
20. Wypych Krystyna
21. Roguski Marek
22. Napiórkowska Beata
23. Narbutt Kamila
24. Kaliszewska-Fiertek Małgorzata
25. Socha Anetta
26. Lewandowska Lilianna
27. Marciszewska Ewa
28. Kardaś Irmgarda

2009/2010

1. J.Kozak – dyrektor szkoły
2. A. Socha – j. polski
3. L. Lewandowska – j. polski
4. M. Wróblewska – Stepańczak – j. polski
5. M. Chmielińska – j. angielski
6. J. Sochań – j. angielski
7. M. Rządziejewicz – j. angielski
8. E. Marciszewska – historia/wos
9. B. Trawińska – historia/wos

10. M. Sokołowska – religia
11. M. Kordasz – j. niemiecki
12. H. Borys – sztuka
13. E. Skibicka – biblioteka
14. K. Potrapeluk – biologia
15. W. Pikulińska – chemia
16. R. Banaszek – fizyka
17. W. Olszewik – geografia
18. W. Kaska – informatyka
19. K. Zacharewicz – matematyka
20. U. Pietruszko – matematyka
21. E. Kozłowska – matematyka
22. J. Buzderewicz – matematyka – (urlop zdrowotny)
23. K. Bielski – w-f
24. K. Dębowska – w-f
25. I. Podolak – w-f
26. L. Wąsowski – w-f
27. J. Biadun – pedagog szkolny
28. M. Kuczmarska – technika
29. A. Bogdańska – doradztwo zawodowe

Dyrektorzy:

Andrzej Gerszberg
Lesław Kleszczyński
Zygmunt Turejko
Jan Jabłoński
Danuta Ciborowska
Elżbieta Żukowska
Jarosława Kozak
Ewa Romanowska

Sukcesy sportowe uczniów Szkoły Podstawowej nr 14 i Gimnazjum nr 5 – najważniejsze wydarzenia

1970/71

V Igrzyska Młodzieży Szkół Podstawowych.
Piłkarki ręczne z czternastki zdobyły przepustki do Szczecina.
W 1970 r. powstał Szkolny Ogródek Sportowy.

1976/77

Wojewódzka Olimpiada Letnia. Do finałów olsztyńskich zakwalifikowały się drużyna piłkarek ręcznych dziewcząt.

1985/86

„Mały mundial” Osiedlowy Turniej Piłki Nożnej Drużyn Dziecięcych Olsztyn 86 (Maciej Głowacki, Bartosz Głowacki)

1991/92

Agnieszka Rogulska uczennica kl. VIIId zakwalifikowała się do Mistrzostw Polski w biegach przełajowych.

1997/98

Irena Podolak wygrała 5. Wojewódzki Bieg Nauczyciela

2000/2001

III Mistrzostwa Województwa Warmińsko-Mazurskiego w Biegach Przełajowych:

Magda Lenard zajęła II miejsce na dystansie 1000 m dziewcząt (roczniki 1986/87)

Wicemistrzyni województwa Sandra Cichocka w biegu na 600 m.

2001/2002

Magda Lenard, Piotr Podolak, Dominik Bernatowicz zaliczali się do najszybciej biegających w gimnazjum.

Uczniowie Gimnazjum nr 5, m.in: Magda Lenard, Piotr Podolak, Dominik Bernatowicz zwyciężyli w większości kategorii indywidualnych biegów przełajowych dziewcząt i chłopców.

2002/2003

W Olsztynie odbyły się sztafetowe biegi przełajowe zorganizowane z okazji Święta Niepodległości. Do mistrzostw wojewódzkich zakwalifikowały się dziewczęta m.in.z Gimnazjum nr 5.

2005/2006

Damian Stankiewicz zajął I miejsce w Mistrzostwach Województwa Warmińsko-Mazurskiego w strzelaniu z broni pneumatycznej w konkurencji Ppn30.

Kamil Bystrzycki – został mistrzem Europy i wicemistrzem świata w disco dance solo.

2006/2007

Zapasy – chłopcy

I miejsce w Mistrzostwach Makroregionu Młodzików w zapasach – styl klasyczny – kategoria wagowa 53 kg. Zawody rozegrane zostały w Wierzbicy 24.09.2006 r.

- I miejsce w Międzywojewódzkich Mistrzostwach Młodzików w zapasach – styl wolny – kategoria wagowa 53 kg. Zawody rozegrane zostały w Borkowicach 23.09. 2006 r.
- I miejsce w Mistrzostwach Województwa Warmińsko-Mazurskiego Młodzików w zapasach – styl klasyczny – kategoria wagowa 53 kg. Zawody rozegrane zostały w Lubawie 28.05.2006 r.
- II miejsce w Mistrzostwach Województwa Warmińsko-Mazurskiego Kadetów w zapasach – styl wolny – kategoria wagowa 50 kg. Zawody rozegrane zostały w Lidzbarku Warmińskim 11.03.2006 r.

Damian Stankiewicz – strzelectwo, ważniejsze osiągnięcia:

- III miejsce – MISTRZOSTWA OKRĘGU w broni pneumatycznej Olsztyn 2003 r.
- V miejsce (kategoria chłopców) – MIĘDZYWOJEWÓDZKIE MISTRZOSTWA MŁODZIKÓW CWKS „LEGIA” WARSZAWA Warszawa 2005 r.
- VI miejsce (kategoria chłopców) MIĘDZYWOJEWÓDZKIE MISTRZOSTWA MŁODZIKÓW CWKS „LEGIA” WARSZAWA Warszawa 2005 r.
- I miejsce – XII PUCHAR WARMII I MAZUR Olsztyn 2005 r.
- I miejsce – MIKOŁAJKOWE ZAWODY STRZELECKIE Z BRONI PNEUMATYCZNEJ TS „GWARDIA” OLSZTYN 2005 r.
- II miejsce – WIOSENNE ZAWODY STRZELECKIE Z BRONI PNEUMATYCZNEJ TS „GWARDIA” Olsztyn 2006 r.
- I miejsce – MISTRZOSTWA WOJEWÓDZTWA WARMIŃSKO-MAZURSKIEGO Olsztyn 2006 r.
- II miejsce – ZAWODY STRZELECKIE Z BRONI PNEUMATYCZNEJ TS „GWARDIA” Olsztyn 2006 r.
- II miejsce XIII PUCHAR WARMII I MAZUR Olsztyn 2006 r.

Taniec – Kamil Bystrzycki

- 2 miejsce – disco dance solo juniorzy – Otwarty Puchar Polski disco-dance, hip hop, electric boogie – Dance Art. Supadance Żyrardów 2005 r.
- 1 miejsce – disco dance solo juniorzy – Ogólnopolski Turniej Disco Dance, Hip Hop i Break Dance Bydgoszcz 2005 r.
- 1 miejsce – disco dance Freestyle – Mikołajkowy Turniej Tańca Hip Hop i Disco Dance Freestyle Nidzica 2005 r.
- 1 miejsce – disco dance solo juniorzy – 5th International Modern Dance Festiwal Mikołajki Supadance 2005 r.
- 1 miejsce – disco dance solo juniorzy – Krajowe Mistrzostwa Disco Dance, Disco dance Freestyle i Produkcje Żyrardów 2006 r.
- 1 miejsce – disco dance freestyle solo juniorzy – Krajowe Mistrzostwa Disco Dance Freestyle i Produkcje Żyrardów 2006 r.
- 1 miejsce – street dance show juniorzy – Krajowe Mistrzostwa Polski IDO Street Dance Show Oborniki Śląskie 2006 r.
- 1 miejsce – disco dance solo juniorzy – Tropicana Cup Supadance Mikołajki 2006 r.
- 1 miejsce – hip hop solo juniorzy – Tropikana Cup Supadance Mikołajki 2006 r.
- 1 miejsce – disco freestyle solo juniorzy – XVI Puchar Warmii i Mazur Hip Hop i Disco Dance Freestyle 2006 r.
- 1 miejsce disco dance solos male juniors – World Czech Republic National Dance Championship Czech Repablik 2006 r.
- 1 miejsce – disco dance solos male juniors – World Championship Senica Slovakia 2006 r.
- 3 miejsce – disco dance freestyle solos juniors – European Championship Senica Slovakia 2006 r.
- 1 miejsce – disco dance solo juniorzy – Ogólnopolski Turniej Disco Dance, Hip Hop I Break Dance Bydgoszcz 2006 r.
- 1 miejsce – hip hop solo juniorzy – Ogólnopolski Turniej Disco Dance, Hip Hop I Break Dance Bydgoszcz 2006 r.

Zapasy – dziewcząt

Dominika Szalkowska – osiągnięcia w Mistrzostwach Wojewódzkich.

2010/2011

01.10.2012 r. odbyły się Sztafetowe Biegi Przełajowe. Sztafety dziewcząt i chłopców z naszego gimnazjum zajęły I miejsce.

2011/2012

W dniu 18.09.2011 r. Kozienicach odbyły się Międzywojewódzkie Mistrzostwa Młodzików. Uczennica Adrianna Pacholczyk zajęła II miejsce w biegu na 1000m Ada zakwalifikowała się na Mistrzostwa Polski Młodzików do Kielc.

04.10. odbyły się Indywidualne Mistrzostwa Olsztyna w Biegach Przełajowych. Adrianna Pacholczyk została Mistrzynią Olsztyna w Indywidualnych Biegach Przełajowych na rok szkolny 2011/12.

02.04.2012 r. w Nowym Mieście Lubawskim Ada Pacholczyk zajęła II miejsce na dystansie 1500 m w Indywidualnych Biegach Przełajowych o Mistrzostwo Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

04.06.2012 r. na stadionie w Kortowie odbyła się Gimnazjada Wojewódzka w lekkiej atletyce. Ada Pacholczyk została mistrzynią województwa w biegu na 100 m.

2012/13

16.03.2013 r. w Braniewie odbyły się Międzywojewódzkie Indywidualne Mistrzostwa Młodzików w Biegach Przełajowych. Sukces odniosła Emilka Bielecka, która zajęła II miejsce.

2015/2016

3 miejsce w turnieju piłki nożnej COCA COLA CUP 2016.

Indywidualne Mistrzostwa Województwa w Lekkoatletyce Gimnazjów-Pasłęk 2016.

ZDJĘCIA



Lekcje gospodarstwa domowego w pracowni technicznej, znajdującej się niegdyś w piwnicy szkoły, naprzeciwko szatni. Zajęcia odbywały się z podziałem na płeć, ale obejmowały ten sam zakres umiejętności, m.in. techniczne i kulinarne.

Chłopcy na zdjęciu kroją samodzielnie przygotowaną pizzę



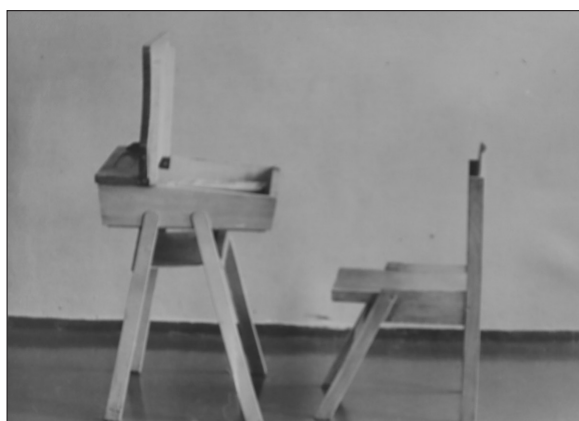
Lekcja gospodarstwa domowego – niełatwa sztuka estetycznego wykonania kanapki



31 maja 1964 roku patronem Czternastki zostaje Karol Świerczewski.
Na zdjęciu uwieczniony został kierownik Andrzej Gerszberg trzymający
drzewce sztandaru oraz honorowe goście wbijające pamiątkowe gwoździe



Szkolne pomoce dydaktyczne – telewizor, duma i jedno z najważniejszych, obok projektora, narzędzi dydaktycznych pani Opieczonek, nauczycielki biologii. Chętnie i często sięgała po dostępne nowinki techniczne. Trudno wyobrazić sobie jej lekcje bez filmu edukacyjnego



„Czternastka” od momentu powstania uchodzi za szkołę nowoczesną i sprzyjającą procesowi edukacyjnemu. Oto jak w latach 70. wyglądały uczniowskie stanowiska pracy – wygodne i spełniające wszystkie zasady ergonomii krzesła, pojedyncze stoliki z podnoszonym blatem, a pod nim skrytka na przybory szkolne



Od momentu nabycia przez szkołę projektora Czternastka wiedzie prym w ilości wypożyczanych filmów edukacyjnych. Kronika szkolna z 1965 roku wspomina o 406 filmach, wyświetlanych głównie podczas lekcji biologii i geografii.

Dr Siwik, absolwent z roku 1980, wspomina, że wspomniany sprzęt służył również do wyświetlania filmów propagandowych



Uczniowie Czternastki biorą udział w zawodach sportowych. Tradycje sportowe były w szkole zawsze niezwykle silne, o czym wspominają m.in. Iwona Pavlović czy Małgorzata Socha. Nie wiadomo, gdzie wykonano to zdjęcie – z pewnością nie na szkolnym boisku, na którym nie było bieżni



Jednym z ważniejszych elementów wychowania dziecka w socjalistycznej szkole było angażowanie do prac porządkowych. Na zdjęciu widzimy uczniów, którzy po wielkiej ulewie porządkują szkolne boisko. Odbywa się to przed wielką uroczystością lub po niej (wskazywałyby na to flagi i tablice z hasłami propagandowymi). Warto zwrócić uwagę na stroje dzieci – jednakowe fartuszki z białymi kołnierzykami



Zdjęcie uwiecznia uroczystość otwarcia Szkolnego Ogrodu Sportowego



Uczniowie klas starszych rokrocznie brali udział w wykopkach, czyli tradycyjnym zbiorze ziemniaków. Wykopki były obowiązkowe i odbywały się zamiast lekcji. W trakcie pracy uczniowie otrzymywali posiłek regeneracyjny w postaci ciepłej zupy bądź kanapki z salcesonem. Za udział w wykopkach otrzymywało się niewielkie wynagrodzenie



Praca uczniów podczas wykopków



Wykopki. Warto podkreślić, że w wydarzeniu tym brali również udział nauczyciele



Od maja 1964 roku do roku 1990 patronem szkoły jest Karol Świerczewski. Święto patrona obchodzone jest zawsze z wielką pompą, odbywają się nawet zloty szkół walterowskich. Na zdjęciu widzimy delegację uczniów pod pomnikiem patrona szkoły Generała Karola Świerczewskiego



„Do zebranych dzieci przemawia kierownik szkoły, tow. A. Gerszberg” –
cytat pochodzi z kroniki szkolnej z roku 1964, dokumentującej nadanie szkole
imienia Karola Świerczewskiego



Fragment z lekcji prac ręcznych dziewcząt z kl VIIb. Dziewczęta i chłopcy uczą się szyc, gotować, rysować technicznie – tego samego, ale w odrębnych grupach



Lekcja wychowania fizycznego, dziewczęta trenują skok przez kozła



Lekcja prac ręcznych. Przy maszynach stoją chłopcy z klasy VIIa, uczą się ciąć i szlifować drewno. Podczas zajęć obowiązują odpowiednie mundurki

Źródła

Kroniki szkolne lata:

- 1959/1963
- 1959/1971
- 1970/1976
- 1976/1984
- 1985/1990
- 1991/1993
- 1993/1996
- 1997/1999
- 1999/2001
- 2001/2004
- 2004/2005
- 2005/2006
- 2006/2008
- 2008/2010
- 2010/2012
- 2012/2015
- 2015/2016
- 2017/2020
- 2020/2024

Indeks nazwisk

- Adamski Kacper 52
Badura Mariusz 135
Bednarczyk Henryka 33, 103
Białous Katarzyna 40
Bielecka Emilia 121
Błażewicz Franciszek 27, 98
Bogdańska Alina 58, 60, 61, 114, 116
Borys Izidor 9, 71, 72,
Borys Hanna 95, 109, 115, 116
Brudzeńska Iwona 92, 113
Brzozowski Stefan 68
Buzderewicz Daniel 10,
Buzderewicz J. 116
Bystrzycki Kamil 10, 118, 120,

Chmieliński Mateusz 52
Chmura Halina 68,
Ciombor Barbara 34, 94, 102, 108,
113, 115
Cybulski Grzegorz 10

Daniluk Lidia 58,
Danuta Ciborowska 9, 19, 29, 33, 41,
70, 73, 81, 99, 113, 116,
Dembicka-Potrapeluk Katarzyna 5, 25,
26, 28, 39, 55, 93, 94, 116,
Dębowska Katarzyna 50, 114, 116,
Dudziec Andrzej 100
Dyro Maria 35, 36, 111, 112, 113,

Gerszberg Andrzej 8, 9, 19, 111, 112,
116, 125, 131,
Gerszberg Teresa 111, 113
Gierba Stanisław 41
Głąb Aleksandra 10
Głowacki Bartosz 117
Głowacki Maciej 117
Głowacki Michał 26, 27, 70, 80, 83,
113
Głowacki Paweł 98, 106
Grudzień Paweł 10

Hader Rafał 52
Hennig Grzegorz 10
Horodyski Roman 85, 108

Jabłoński Jan 9, 19, 35, 111, 113, 116
Janukiewicz Rafał 99

Kaska Wojciech 32, 115, 116
Kierońska Jolanta 92, 113
Kijak Emilia 31, 113
Kleszczyński Lesław 9, 19, 111, 112,
116
Kondratowicz Teresa 96,
Konopnicka Maria 5, 10, 11, 14,
Kordaczuk Jarosław 9
Kowalski Michał 53
Kozak Jarosława 5, 10, 33, 44, 46,
55, 57, 115, 116
Kozłowska A. 21
Kozłowska Ewa 32, 108, 115, 116
Kroczak Aleksander 10
Kwiatkowska Renata 11

Lemańska Iwona 92
Leśny Piotr 99
Lubiejewska Liliana 74, 80,

Łowicka Zofia 58

Mackiewicz Danuta 113
Mackiewicz Tomasz 10
Małgorzata Socha Małgorzata (Anetta)
25, 26, 38, 92, 94, 98, 102, 108,
115, 127
Matraczy Andrzej i Paweł 9
Mieloch Kazimiera (Hanna) 34, 111,
112, 113
Mocarska K. 57

Nadratowska Jadwiga 27, 111, 112,
113
Niedźwiedzki Marek

Olber Janina 94, 114
 Olszewski Romuald 85
 Opieczonek Halina 33, 34, 35, 42,
 66, 67, 80, 112, 114, 125
 Orińczak Sławomir 50
 Pacholczyk Adrianna 10, 53, 121
 Pasymowska Krystyna 114
 Pasymowska Renata 35
 Pavlović Iwona 5, 9, 79, 83, 84,
 127
 Pietruszko Urszula 115, 102,
 115, 116
 Pietruszko Cezary 10
 Podolak Irena 5, 14, 30, 49, 56,
 108, 115, 117
 Podolak Kazimierz 53
 Podolak Mieszko 9, 10
 Podolak Piotr 10, 118
 Pogorzelska Karolina 10
 Ręckowski Dariusz 10
 Romanowska Ewa 11, 14, 116
 Rosa Bogdan 58
 Rościszewski Krzysztof 61
 Rożek Alina 68, 69, 112, 114
 Siwik Piotr 5, 65, 77, 127
 Stempniak Teresa 58
 Steranko Artur 95
 Szafirsztejn Dawid 10
 Szalkowska Dominika 121
 Sztąberska-Molga Iga 5, 107, 109
 Świerczewski Karol 8, 9, 86, 125, 131
 Trawczyńska Danuta 5, 32, 43, 46, 58
 Trawińska Barbara 93, 115
 Trzeciak Magdalena 10, 52
 Turejko Zygmunt 9, 19, 46, 116
 Turkot Andrzej 50, 98, 99, 105
 Wypych Kamil 99,
 Wypych Krystyna 35, 115
 Ziarek Teodozja (Teofila) 34, 102, 112, 114
 Żarczyńska Anna 9, 102
 Żołądkowicz Wojciech 5, 9, 85, 96, 97
 Żukowska Elżbieta 9, 33, 55, 57, 114, 116

Koordinacja pracy redakcyjnej
Piotr Maroński

Redakcja językowa i korekta
Iwona Krasowska
Izabela Mikulak

Skład i łamanie
Marzanna Modzelewska

Promocja
Dorota Panowek

Na okładce
medal jubileuszowy autorstwa Hanny Borys

ISBN 978-83-67398-88-6

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42-700)
al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa
wydawnictwo@muzn.pl
tel. 826 90 91 w. 41

Realizacja poligraficzna
Drukarnia Spręcograf s.c.
11-001 Dywity, Spręcowo 17A

35 lat  MUZEUM
lat NIEPODLEGŁOŚCI

 **Mazowsze.**
serce Polski